



TELEMANIAK

Jacek Dąbala



RH⁺
REDHORSE

Ali-Baba

Od Autora

Jeżeli powieść ta pozwoli Czytelnikom po prostu zrelaksować się, pośmiać, zapomnieć o codziennych kłopotach, a nawet zająć przed snem dzieci, wówczas - mimo jej mało poważnego charakteru - będę jako autor usatysfakcjonowany. Aż tyle.

Mojemu bratu, Tomkowi

JACEK
DĄBAŁA

TELEMANIAK

ilustracje
Andrzej Łaski

RH⁺

REDHOUSE

Motto I

Kto tę cholerną bestię wypuścił?- z gniewem powiedział naczelnik. - Niech go ktoś złapie!

G. Orwell

Motto II

Gdy ktoś czegoś nie rozumie, dwie są możliwości, albo nie rozumie, bo rzecz nie warta zrozumienia, albo też nie rozumie, bo do rozumienia nie dorósł wskutek, dajmy na to, lenistwa umysłowego, braków wykształcenia lub (bo i to się zdarza) przyrodzonej tępoty.

W. Gombrowicz

Nasze dzieci muszą mieć wszystko,
nawet to, co powinny.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Derek Gudłaj urodził się w młodniku zasadzonym jeszcze przez jego dziada, dorodnego Aleksego Gudłaję. Przyszedł na świat w dniu, kiedy to matka nie zdążyła wskoczyć na furę, bo ojciec tego rana był pochmurny i ostro zaciął konie. Gonila za nim jeszcze ze trzy wiorsty, ale stary nie popuścił - coraz mocniej ciął kasztanki po zadach. Wreszcie zrezygnowana uwalila się w młodniku i zaczęła rodzić.

Ludzie we wsi dość szybko zauważyli, że z Derkiem jest coś nie tak. Parę razy na przykład przyłapano go, jak ssał cycek maciory, krowy lub kozy. Zwierzęta tak się przyzwyczaiły do niego, że odganiały nawet własne potomstwo, były tylko on mógł się nassać do syta.

Wypasiony był Derek nad podziw. W ogóle rozwijał się za szybko. Kiedy miał pięć lat, urosła mu broda, niedługo potem stał się mężczyzną, a gdy skończył dziesięć lat, całkowicie wyłysiał. Wtedy też przestał rosnąć - zatrzymał się na dwóch metrach i trzech centymetrach.

Chłopak od najmłodszych lat wykazywał rzadko spotykane zdolności. Podglądał (lub nie - w zależności od ochoty) ojca, jak ten bił świnie, i parę godzin później ktoś we wsi znajdował w oborze zarżniętą i oporzadzoną lochę. Oczywiście była to jego własna locha, którą przeważnie hodował na święta. Albo dojenie! Wystarczyło, że matka raz wydoiła przy nim Krasulę, aby dzień później trzy krowy sąsiada przestały dawać mleko. Za to świnie Gud-łajów zaczęły nagle przybierać na wadze.

Kiedy w wieku siedmiu lat zabrano Derka do szkoły, nie potrafił się przystosować do regularnej nauki. Wołał prywatę w najczystszy wydaniu. Na lekcjach zjawiał się średnio raz w tygodniu; wpadał w połowie zajęć i z miejsca rzucał się do tablicy, jakby wezbrała w nim nagle nieprzeparta chęć podzielenia się swoją wiedzą z otoczeniem. Odganiał innych uczniów i na chybił trafił wpisywał byle jakie cyfry obok

zadanych słupków. Spluwał przy tym na biurko nauczyciela i przytupując, łapał na niego groźnym wzrokiem. Co mógł mu zrobić biedny belfer, który miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu? Po wypisaniu kredy Derek wyjmował z kieszeni procę, zakładał hacel i naciągał wentyle. Mierzył dokładnie w ucho nauczyciela.

- E! Wpis no piuntke - seplenil przez niepełny garnitur mlecznych zębów.

I nauczyciel wpisywał. Wystarczyło tylko spojrzeć na brodatą gębę Derka i olbrzymie łapy trzymające procę.

Tak działo się przez dwa lata. Wszystkie dzieci w szkole wołały na niego: tata. Aż mrowie przechodziło po krzyżach, kiedy czternastoletnie dziewczęta prowadziły go za rękę na szkolnym spacerze. Jego poziom umysłowy nie został precyzyjnie określony - papier, na którym notowano wyniki testów psychologicznych, żółkł z wściekłości i rozsypywał się po kilku sekundach. Komisja z kuratorium zdołała tylko ocenić, że Derek nie nadaje się do zwykłej szkoły; doradzała zakład specjalny, ale jakoś nikt nie kwapił się go tam zawieźć.

Odtąd chłopak kształcił się samodzielnie. Rodzice - owszem - zajmowali się nim po swojemu, ale zbyt wiele czasu nie mieli. Wyrastał więc na dziecko telewizora, który stał w kącie pokoju, i stamtąd czerpał swoją wiedzę o świecie. Kim on już dzięki temu nie był? Myszką Miki, o której słyszał w dzienniku, że jest niemoralna, głupawym, ale ambitnym smokiem Telesforem, zawsze zadowolonym Bolkiem lub Lolkiem, intelektualistką pszczołką Mają, a nawet nadgryzioną zębem czasu, sztandarową spikerką, kiedy to ubrał się w błękitny żakiet matki i stojąc we wrotach stodoły, przepowiedział ludziom film grozy. Warto podkreślić, że sam nie poddawał się nigdy takim nastrojom, nawet towarzyszący mu niemal od urodzenia sen o krainie śmierci zwanej Syberią ani razu nie zepsuł mu dobrego humoru. Mróz go tylko rozśmieszał.

Do historii wyczynów Derka w tamtych latach przeszli bezsprzecznie Zorro oraz czterej nieśmiertelni czołgiści i pies. Początek tych wydarzeń wyglądał dość niewinnie. Otóż pewnego dnia okazało się, że u sołtysa zniknęły wszystkie

krowy i świnie, a liczba drobiu spadła do jednego koguta. Na wrotach obory pozostał tylko znak Zor-ra. Nic więcej.

Pierwszy i najbogatszy we wsi gospodarz, Rychu Ban-dzioch, stracił jednej nocy wszystkie zwierzęta: kury, kaczkę, kozy, świnie, krowy, konia i trzy nutrie. Pies też przepadł, i nawet nie zaszczekał. Później okazało się - kiedy na jednym z powiatowych targów Bandzioch musiał odkupować własną maciorę - że po okolicy krąży na koniu i w czarnej masce ogromny Zorro, zabiera bogatym i rozdaje biednym. Wszędzie widniały jego znaki, na daszku studni Gudłajów także. Nie było przy niej tylko wiaderka, które Zorro podarował jakiemuś żebrakowi.

Milicja wkroczyła do sprawy w momencie, gdy zamaskowany bohater przedzierzgnął się w dowódcę czterech pancernych. Przeistoczenie to było jednak niezwykajne. Pewnej niedzieli - zaraz po obejrzeniu w telewizji ataku pod Studziankami - Derek wtargnął cichaczem do miejscowej remizy, związał dyżurnego strażaka, ubrał się w mundur i kask, aby po chwili zasiąść za kierownicą strażackiego wozu. W akcji towarzyszyli mu trzej koledzy: Zenek Wojdyga, Dzidek Zacier i Jontek Grób. Była też suka Wojdygi, mały kundel, który musiał odgrywać rolę psa Szarika. Oczywiście Derek Gudłaj od samego początku był Jankiem Kosem, znanym międzynarodowym gerojem...

Z remizy wyjechali jak z bunkra, za nimi został tylko kurz i wywalone drzwi. Zaraz też włączyli sygnał i zaczęli śpiewać: Deszcze niespokojne potargały sad, a my na tej wojnie ładnych parę lat... Dowódca, Derek Gudłaj vel Janek Kos, skierował pojazd wprost na pobliską pocztę. Pędzili przez wieś na pełnym gazie, a ich „Rudy” roznosił po drodze płoty, motory i furmanki. Przerażeni wieśniacy pochowali się w chałupach i milczkiem spoglądali, co z tego wyniknie. Matki i ojcowie też woleli nie wychodzić, ponieważ wiedzieli, że Derek wczuwa się zazwyczaj tak ambitnie w rolę, iż mogliby przez nieuwagę odegrać faszystów. Dopiero po kilku minutach niektórzy z nich zdecydowali się podkraść pod pocztę. Tam właśnie wyhamowała ostro załoga pancernych. Błyskawicznie przysposobiono do odpalenia działko wodne i zaatakowano

przeżarty starością budynek poczty. Naczelnik i jego dwie pracownice (panna Hela i panna Jadzia) próbowali się zabarykadować, ale już pierwszy „odłamkowy” wypłoszył z nich myśl o bohaterskiej obronie. Pod wpływem uderzenia drzwi wypadły z łomotem z zawiasów i rozbiły się gdzieś wewnątrz budynku. Po chwili przestały istnieć okna. Załoga „Rudego” umiejętnie brała na cel kolejne punkty newralgiczne groźnego bunkra. Komin trafiony tuż przy nasadzie leciał prawie trzydzieści metrów, po czym rozbił się na kombajnie sołtysa. Po kilku takich wystrzałach poczta zaczęła się niebezpiecznie chwiać. Ze środka wywieszono białą flagę. Derek kazał zaprzestać ognia i wyrzucił z siebie:

- Wychodźta! Ręce na kark!

Pierwszy wyszedł naczelnik, a zaraz za nim obie panienki. Wyglądali na prawdziwych okupantów - umazani w czarnej sadzy, w postrzępionych ubraniach wolno podchodzili do dzielnej załogi „Rudego”.

- Stańta! - huknął na nich z góry Derek.

Zatrzymali się i z obawą obserwowali ciemny wylot lufy działka. Z tej odległości każdy wystrzał groził połamaniem zeber.

- Jołki-połki! Chcieliśta wojny, to ją mata! - wykrzykiwał Derek. - Teraz idźta do sołtysa i powiedzta, że w jego stodole będzie obóz dla jeńców wojennych. My jedziem dalej. Na Berlin!

Po tych słowach załoga zniknęła w kabinie wozu i rozległ się ryk zapuszczanego silnika. Nie zdążyli jednak odjechać, w ich stronę bowiem pędziły na sygnale trzy samochody ciężarowe, a w każdym po dwudziestu milicjantów. Pancerni Derka ani przez moment nie ulegli panice. Powoli ruszyli przeciw nieprzyjacielskim odwodom. Tamci opuścili pojazdy, rozsypali się w tyralierę i stopniowo zblizali w ich stronę. Byli uzbrojeni po zęby i chronili się za plastikowymi tarczami. Derek w ogóle nie słuchał, co mówi do niego przez megafon ich dowódca - wiedział tylko, że wroga należy zwyciężyć i przepędzić. Nie bał się śmierci za ojczyznę, tym bardziej że „Rudy” na filmie zawsze wygrywał, więc i oni nie mogli przegrać.

- Odłamkowym ładuj! Ognia! - wydał komendę.

Tyraliera zachwiała się pod naporem strumienia wody, a czterech milicjantów zupełnie zmiotło. Pozostali cofnęli się i przypadli do ziemi. Derek kazał zaprzestać ognia zaporowego i sięgnąć po karabiny, czyli zwykłe sikawki zwinięte na dachu wozu. Wiedział, co robi, bo nagle wróg poderwał się z ziemi i biegiem zaczął ich okrążać.

Specjalnie wyszkolony oddział był już prawie przy dzielnej załodze, kiedy Derek dodał gazu i ryknął:

- Ognia!

Dwie sikawki wycelowane w nadbiegających z odległości trzech metrów raziły prawie jak działko wodne. Nieprzyjaciel padał i klął głośno, a „Rudy” już nawracał i atakował raz jeszcze, gotów zmiażdżyć piechotę gąsienicami. Pancerni walczyli jeszcze z godzinę, po czym zostawiwszy za sobą pobojuwisko, skierowali się ku następnej wsi.

Niestety Derek nie przewidział, że zapas amunicji już się wyczerpuje, i w Góraszce rozwalili tylko trzy budynki państwowego gospodarstwa rolnego. Później doszło do walki wręcz, ale tu dziesięcioletni Wojdyga, Zacier i Grób niewiele już mieli do powiedzenia. Nie pomogły im nawet toporki strażackie. Schwytano ich i zamknięto na poczcie aż do przyjazdu milicji; tylko Derek walczył jak równy z równym, a nawet lepiej. Chwytał po dwóch za łby i walił nimi o siebie, aż trzeszczało. Jego ogromne łapy raz po raz wyzwały z największych zabijaków Góraszki dramatyczny skowyt. Derek rechotał przy tym niemiłosiernie i pogwizdywał. Całe szczęście, że toporki oddał kolegom i sam musiał walczyć gołymi rękami, bo przy jego sile trup mógłby ślać się gęsto.

Pokonano go wreszcie podstępem, jak Juranda ze Spychowa. Zarzucono mu na głowę sak do połowu szczupaków i przyłożono kłonicą. Derek stracił świadomość i tak oto skończył się marsz czterech pancernych i psa na Berlin. Oczywiście sprawę zatuszowano i puszczono w niepamięć - uznano, że była to niebezpieczna zabawa rozwydrzonych chłopców.

Sądziłi - to niemożliwe.
I stało się. Tak samo.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

O wiele poważniej przedstawiała się inna działalność Derka Gudłaja. Wspomnieliśmy już, że wcześniej poczuł się on mężczyzną, mimo że oficjalnie miał kilka lat. Wiek ten ma to do siebie, że chłopcy i dziewczęta niezwykle interesują się ludzkim dołem, odkrywają różnice i ze zmarszczonym czołem dumają, po co to wszystko i dlaczego tak? Chętnie też chowają się wówczas w komórkach lub pod stołami i tam pokazują sobie nawzajem owe „tajemnicze instrumenta”. Nie ominęło to również Derka. Kłopot polegał na tym, że wyglądał on jak okazały chłop: miał brodę, potężne bary i był całkowicie łysy. I jak tu okolica mogła go uznać za dziecko?

Trzęśli się rodzice wszystkich rówieśniczek Derka, co to z tego może być. I było. Sąsiad Gudłajów podpatrzył kiedyś, jak u niego w oborze, tam gdzie panował zmrok, Derek stał nagusieńki przed okazałą grupą dziewczynek i wesoło napręzał swoje mięśnie. Później - rozgłosił sąsiad - chłopak kazał im się rozebrać i zabrał się do studiowania tak odmiennej anatomii. Pomrukiwał też od czasu do czasu z zadowoleniem.

Wkrótce zaczęły się mnożyć nieprzyjemne historie, kiedy to dzieci, ujrzawszy przypadkiem ojca nago, z lekceważeniem machały ręką i wołały:

- Eeee, tatko, żebyś ty widział Derka! Ciebie to się nawet nie boimy.

Załamywali się wówczas ojcowie i przychodzili do zagrody Gudłajów popatrzeć, jak to właściwie z tym chłopakiem jest. Faktycznie, mogli się zawstydzić, obserwując go rankiem nagiego przed chałupą. Nigdy jeszcze nie widzieli takiego monstrum.

Szybko też kawalerka zaczęła brać Derka na zabawy. Stary Gudłaj już po kilku miesiącach dowiedział się, że w powiecie jest głośno o jego synu. Kiedyś na przykład powiedziano mu w jednym z otwockich sklepów:

- Panie Gudłaj, pański syn to koń, a nie człowiek. Moja Ziuta powiedziała, że za trzy lizaki może przez całą noc... A jak go dziewczuchy lubią! Wszystkie uparły się czekać na niego, aż skończy osiemnaście. Żadna nie spojrzy już na innego chłopaka. Na tamtych podobno teraz wołają: komary. Za to pański syn ma przezwisko, że palce lizać. Nie słyszał pan? Mówią na niego Belmondo.

Stary Gudłaj kiwał tylko głową w zamyśleniu i nic nie mówił. Przez dłuższy czas zastanawiał się, co zrobić z chłopakiem. Wreszcie oddał go do murarzy. Wierzył, że taki kawał chłopca szybko się przyuczy i da sobie radę. Jakież było jego rozczarowanie, gdy po trzech miesiącach Derek wrócił do domu i burknął przez ramię:

- Koniec, ojciec. Nie ma już dla kogo budować.

Dzień później zjawił się pierwszy mistrz murarski w okolicy, majster Prywata. Czego to on nie naopowiadał Gudłajom! Podobno Derek sam jeden postawił osiem willi w ciągu czterech tygodni. Najgorsze było to, że stawiał je w nocy, kiedy wszyscy spali, i nie tam, gdzie trzeba. Sztuki murarskiej też nie uszanował. Postawił więc willę sklepowej, bo dawała mu za darmo pączki na drugie śniadanie; później wszystkim dziadom spod kościoła, żeby mieli gdzie dziadować; wreszcie wznosił potężną „ambasadę” miejscowemu złodziejowi, Byniowi Pryńckowi, po obejrzeniu filmu Vabank w kinie objazdowym.

Architektura to była niezwykle skomplikowana - wchodziło się do środka przez długi tunel, w którym po obu stronach paliły się świece, a po kilkunastu metrach okazywało się, że należy iść dalej jakimś poplątanym labiryntem, aby w końcu, bez życia prawie, dotrzeć na dach. Okien Derek w swoich planach nie przewidywał. Tak budując, wyczerpał cały zapas materiałów w firmie i spokojnie odjechał pierwszym napotkanym autobusem.

Wizyta majstra Prywaty łączyła się z różnymi pogroźkami wobec Gudłajów, którzy powinni - co wyraźnie dawał do zrozumienia niegrzeczny gość - już teraz składać pieniądze na odszkodowanie dla jego brygady. Biedny majster nawet nie

przypuszczał, na co się naraża, wchodząc na terytorium Gudłajów. Derek był akurat w twórczym amoku i niewiele myśląc, chwycił majstra za nogawice, zaciągnął go do obórki i po unieruchomieniu podłączył do jakiejś wiekowej aparatury. Stary Gud-laj i Gudłajowa zakradli się tam wieczorem i na widok majstra zadrżeli. Prywata wisiał w powietrzu, rozciągnięty między tajemniczymi rurkami i naczyniami, na głowie miał maskę gazową zmontowaną niegdyś przez dziadka, Aleksego Gudłaja, w ustach przewód do oddychania połączony z korytem umieszczonym na podeście pod sufitem. Tam właśnie stał Derek i przez tę rurę wlewał do gardła majstra rozgotowaną paszę dla bydła.

- O Jezu! - wyrwało się matce.

Derek usłyszał jęknięcie i wybiegł z obórki.

- Czego chcieli? - warknął.

- Synu, co to jest? Człowieka chcesz zabić? - płakała matka.

- Jak to zabić? Maszynę naszych pradziadów ulepszyłem i mamy teraz własny nawozownik. Przez zimę nazbiera się tego trochę, a na wiosnę wywieziem wszystko'na pole i ziemniaki lepsze urosną. Teraz go trenuję, żeby szybki był w żarciu, bo przyrost nawozu jest za mały.

O, dopiero pół wiadra - wyjaśniał naukowo Derek. - No, idźta już stąd!

Rodzice - co zrozumiałe - milczeli.

Przez jakiś czas w okolicy panował spokój. Młody Gudłaj jakby się całkiem odmienił. Nie wychodził prawie z zagrody. Czasami do miasta jeździł z wielką torbą, ale nikt się nie domyślał, co stamtąd przywoził.

Byłby może majster Prywata do końca swoich dni nawoziarką Gudłajów, gdyby nie telewizja. Jakiś starzec z wątrobowymi plamami na twarzy uratował mu życie, kiedy zapowiedział dreszczowiec pod tytułem Frankenstein. Derek namiętnie kochał telewizję i - jak powszechnie wiadano - ona wychowała go na człowieka. Po obejrzeniu filmu zniknął ponownie w obórce i przez tydzień nie wychodził. Matka co rano stawiała mu jedzenie koło drzwi i prędko uciekała. Starzy woleli chłopakowi nie przeszkadzać. Wreszcie którejś nocy

usłyszeli hałas. Wrócił. Wszedł do izby, zapalił światło i zawołał zmęczonym głosem:

- No, teraz im pokażę, kto tu ma techniczną żyłę. Jak go jutro wypuszczę do sklepu, to będziemy tu mieli handlowców z całego świata. Dobry będzie do pilnowania dzieciaków, jak przyjdą żniwa. Co się gapita? Na Frankensteina go przerobiłem. A jak zapłaca, to i w więzieniu się nada, he, he... Strażnik z niego lepszy od psa. Nie ma co, dobrze go pozszywałem. Sto igieł mi pogryzł, tak się bronił - westchnął Derek i ciężko opadł na rozbebeszone wyrko, a po chwili rozległo się głośnie chrapanie.

Następnego dnia cała wieś - pewnie przeczuwając grozę nadchodzących wydarzeń - jakby zapadła się pod ziemię. Ludzie wystraszyli się cmentarnych podmuchów, które nagle zaczęły uderzać o szyby domów. Czekali, przemykając się cicho tylko po zakupy. Słodkich maślanych bułek nigdy by się nie wyrzekli, nawet na sądzie ostatecznym.

Przerobiony przez Derka na Frankensteina majster Prywata nie był ani jednym, ani drugim. Do sklepu szedł ogromny wieprz, Derek bowiem pozostawił z majstra tylko nogi i ręce, resztę stanowił świński korpus i łeb. W sklepie, gdy Prywata otworzył drzwi, sprzedawczyni padła za ladą bez życia, a dwie emerytki stojące już nad grobem wyłamały kraty w oknach i skokami sadziły przez wieś, krzycząc wniebogłosy:

- Ludzie! Potwór! Ludzieeee, człowiek-świnia jest w sklepie! Ale na tym się nie skończyło. Minęła noc i potwór znów wyszedł do sklepu po zakupy. Wioska jednak była już przygotowana. Wszyscy stali zaczejeni pod domem sołtysa i wyczekiwali. Kiedy tylko zniknął w drzwiach sklepu, kilku najodważniejszych kawalerów zatrzęsęło drzwi i okiennice, podparłszy je kołkami. I w ten sposób uwięziono człowieka-świnie. Teraz ludzie powoli wynurzali się z ukrycia i prowadzeni przez sołtysa pomrukiwali groźnie. Wszyscy nieśli w rękach osadzone na sztorc kosy. Zdawało się, że widmo zaborców znów stanęło nad Polską. Nawet ksiądz podjechał bryczką, wyjął kropidło i wodę świeconą, przeżegnał się i zawołał:

- Słyszysz mnie, siło nieczysta? Człowieku-świnio, skąd się tutaj wzięłeś? Czy nasłał cię na tę wioskę Lucyfer za jej grzeszne życie? Odpowiedz, rozkazuję ci w imieniu Świętej Inkwizycji!

Z wnętrza sklepu doleciał jakiś niewyraźny bełkot, po czym wszyscy usłyszeli pijacką czkawkę.

- Człowieku-świnio, czy uwięziłeś tam kogoś, kto w swej nieświadomości nadużył alkoholu? Odpowiedz, rozkazuję ci ja, ksiądz Hilary Bieda!

Dopiero teraz w sklepie rozległ się jako tako zrozumiały głos:

- Ludzie, co wy ode mnie chcecie? Jestem majster Prywata ze Świdra, nieludzko przemieniony przez Derka Gudłaja. To on zrobił ze mnie człowieka-świnie, a przedtem poił przez pół roku jakimś paskudztwem. Ludzie, to morderca i wariat... Tak mnie sprycuje bimbrem, że nawet nie mam siły gadać...

Wieś jakby zachwiała się pod naporem tych słów. Tylko ksiądz nie stracił zimnej krwi i odchodząc w stronę bryczki, krzyknął:

- To przez wasze grzechy! W niedzielę marsz mi wszyscy na mszę! Bóg się nad wami ulitował, ale potwór jest i musicie go wyzwolić. Oko opatrności niech sprowadzi was wszystkich na dobrą drogę!

Po chwili został po nim tylko kurz. Do akcji wkroczył teraz sołtys.

-Otwierajta te drzwi! Trza człowieka-świnie obejrzyć - rozkazał gromko.

Szybko odrzucono podpórki i drzwi zaczęły się stopniowo otwierać. Ludzie przyczaili się, kosy pochyłili ku przodowi, nieufni i ciekawi potwora. Ów wyszedł wreszcie, a właściwie wytoczył się ciężko, powiódł nieprzytomnymi oczkami po zgromadzeniu i załkał:

- Ludzie, zreperujcie mnie! Przecież nie mogę być do końca moich dni człowiekiem-świnia. Mam żonę i dzieci, czeka na mnie brygada... ludzie, co za krzywda mnie spotkała...

Tak zawodził jeszcze przez jakiś czas, po czym sołtys i najbogatszy we wsi gospodarz, Rychu Bandzioch, uradzili, że trzeba pomóc majstrowi Prywacie.

Na wieś powoli opadała ciemność. Brak światła ułatwił sołtysowi wędrówkę do stodoły; nie musiał się wstydzić, że idzie ramię w ramię z człowiekiem-świnią.

Całą noc przy skąym świetle latarki naprawiali majstra. Odpruli mu świńskie sadło i zdjęli wstrętny łeb. Nad ranem Prywata odzyskał dawne walory, tylko po okresie pracy jako nawoziarka głębę miał strasznie rozciągniętą. Teraz nie było to jednak dla majstra istotne, skoro przestał być człowiekiem-świnią. Podziękował serdecznie sołtysowi i Bandziochowi, pożyczył od jednego z nich rower i o brzasku pomknął w swoje strony.

Ludzie ci, co przykre,
nie rozumieją dobrych pomysłów.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Cała operacja wkrótce się wydała. Derkiem Gudłajem zatrzęsło. Nie mógł uwierzyć, że ktoś ośmielił się tknąć jego własność, tę wspaniałą konstrukcję anatomiczną, która miała sprowadzić do niego handlowców z całego świata. Obmyślał plan okrutnej zemsty. I znów nieoceniony okazał się film, a konkretnie Ojciec chrzestny. Oczywiście Derek zmodyfikował trochę zaczerpnięty stamtąd wątek i przystosował do warunków polskiej wsi.

Trzy osoby jawiły mu się w snach jako odpowiedzialne za kradzież człowieka-świni: ksiądz Hilary Bieda, sołtys Szerszeń i Rychu Bandzioch. Derek doszedł do wniosku, że sam nie podola zemście, i wciągnął do swojego planu ojca i matkę. Opierali się trochę, ale w końcu przystali. Woleli zresztą nie ryzykować; każdy sąd uznałby, że odsunęli się w ten sposób od obowiązków rodzicielskich. Tego Gudłajowie chcieli za wszelką cenę uniknąć. Wyznaczono więc dokładny czas zemsty. Pewnej nocy, kiedy pora była już odpowiednia do snu, ksiądz Bieda zdjął sutannę, wychylił kielich mszalnego wina i zgasił światło. Odwinął kołdrę i ciężko opadł na wykrochmalone prześcieradło. Nagle poczuł, że coś ciepłego sunie mu po brzuchu w górę. Serce przestało księdzu uderzać i przez chwilę zdawało się, że rano gospodyni znajdzie w jego łóżku trupa. Dopiero kiedy to coś oparło mu się na grdyce, wyzwolił się w księdzu instynkt życia; zapewne też wino mszalne dodało mu odwagi.

- Ktoś ty, zmero tajemna? - wykrztusił.

- Gudłajowa... - usłyszał tuż przy uchu najstraszliwszy szept swojego życia.

- Aaaaa! - zaryczał i zerwał się z pościeli.

Wybiegł do przyległego pokoju, zwałił się na klęcznik i zaczął żarliwie modlić. Diabelskie kuszenia dolatywały go jednak wyraźnie: - Zgrzeszyłeś, klecho, nakazując ludziom zepsuć

człowieka-świnie. Jutro musisz ogłosić z ambony, że nigdy więcej nie należy wyzwać z bestii człowieka.

Ksiądz Bieda modlił się zapamiętane do samego rana. Dopiero o brzasku wstał ostrożnie i zaczął przeszukiwać dom. Nikogo w nim jednak nie znalazł, nawet śladów nie było. Z lękiem począł myśleć o niedzielnej mszy.

Tej samej nocy w domach sołtysa i Bandziocha również pojawiły się duchy. Sołtys, który po bożemu spał z sołtysichą, zupełnie osiwił w ciągu kilku sekund, gdy zapragnął przed zaśnięciem pogłaskać swoją starą i znalazł zamiast dorodnego cyca ogromną, zmierzwioną brodę i włochate kłęby mięśni. Spocony wypadł z łóżka i pognął do swojej służbowej izby. W drgawkach wykręcił numer Komendy Powiatowej MO w Otwocku. Nie zdołał jednak wyjąkać informacji, ponieważ oficer dyżurny uznał go za kompletnie zalanego i odłożył słuchawkę. Sołtys jęknął i schował się najpierw w kuchni, potem wlaźł do spichlerza, zabarykadował się workami z cukrem i tak doczekał rana.

U Rycha Bandziocha natomiast ukazał się w nocy całkiem nago duch powstańca styczniowego. Bandzioch spał sobie smacznie koło swojej małżonki, gdy poczuł, że coś łaskocze go w piętę. Uniósł się na łokciach, otworzył oczy i od tej pory stracił mowę. Przy łóżku stał nago jakiś wychudły starzec z szablą w dłoni i cichutko nucił: Hej, kto Polak na bagnety, żyj swobodo, Polsko żyj... Bandzioch schował głowę pod pierzynę, ale śpiew trwał nadal. Żona, która zbudziła się pod wpływem jego szturchania, zobaczyła zjawę i piskliwym głosem zaczęła nucić godzinki.

Do rana śpiewała więc pod pierzyną nabożne pieśni, a wtórował jej grobowy głos powstańca. Kiedy zrobiło się widno, w izbie nie było nikogo.

Tak zemścił się za swoją krzywdę Derek Gudłaj; ksiądz Bieda rozkazał z ambony nie wtrącać się w sprawy potworów, sołtys został uznany w powiecie za podejrzanego alkoholika i warunkowo pozostawiony na urzędzie, a gospodarzy Bandzioch od tamtej pory porozumiewał się z otoczeniem, kiwając tylko głową.

Twórczość nie zna granic, prawda?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Po tych wydarzeniach Derek przez tydzień nie wstawał od telewizora i łapczywie chłonał wiedzę. Wtedy też usłyszał informację, która znów poderwała jego umysł do działania. W stolicy telewizja ogłosiła konkurs muzykujących rodzin - wyznaczono datę eliminacji i zaproszono wszystkich chętnych. To wystarczyło.

Od tego dnia Derek zaprzągnął całą rodzinę do wygrywania jego kompozycji muzycznych. Gudłajowie nigdy przedtem nie grali na żadnym instrumencie, nawet nie bardzo orientowali się, jakie są, ale pod presją syna, eliminacji i stolicy zabrali się ostro do prób. Derek pewny był tylko jednego - musieli zaskoczyć komisję czymś nowym, niepowtarzalnym. Zresztą często mówiono w telewizji, że głównie nowoczesna muzyka święci na całym świecie triumfy. Derek postanowił zmiażdżyć innowacją nawet zawodowych muzyków i przygotował odpowiednią kompozycję. Całość składała się z dwóch części: prymitywizująco-awangardowej oraz sytuacyjno-naturalistycznej. Oczywiście Gudłajowie nie wdawali się w nazywanie swoich utworów - one po prostu były, bo być powinny. Dla intelektualistów-pretensjonalistów oraz ludu gotowały swojskie treści. Derek pluł na znawców i krytykę, interesowała go tylko sława, wielkie światowe koncerty, a przede wszystkim te cudowne kolorowe opary unoszące się na telewizyjnym ekranie podczas występów „mamiochy”, jak nazywał zawodowych muzyków. Uznał, że takie dymienie na oczach ludzi pozwala niejedno ukryć, a tamtych ogłupić. Chodził więc i kalkulował, aż któregoś dnia westchnął z ulgą - odczuł dreszcz samozadowolenia.

Następnego dnia wykupili bilety na autobus do Warszawy. Chcieli muzykować i wygrać co można. Zanim jednak doszło do występu, sam ich pobyt w stolicy obfitował w wiele nieprzewidzianych zdarzeń. Już po opuszczeniu autobusu, z walizami i klatkami, gdzie ukryte były „sprzęty muzyczne”, cała

rodzina zatrzymała się na ulicy, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Wokoło dudniły samochody, ludzie pędzili w różne strony, że tylko patrzeć, jak się zaczęły zderzać. Derek, który jako lider zespołu wziął na siebie najcięższe obowiązki, rozglądał się, gdzie by się tu udać, żeby dojechać do telewizji. Wcześniej zapisał sobie ulicę Woronicza, ale przecież w stolicy jest tyle ulic. We wsi była tylko jedna droga i wszędzie docierało się na piechotę, a tutaj sam diabeł by się nie połapał.

Gudłajowie nie wiedzieli jeszcze wówczas o istnieniu taksówek; słyszeli wyłącznie o dwóch środkach lokomocji - autobusie i pociągu, oczywiście poza furmanką i motorem. Wreszcie zdecydowali się wsiąść do tramwaju. Logicznie rozumowali, że taki mały pociąg wszędzie ich dowiezie, a w razie czego łatwo z niego wyskoczyć.

Ludzie przypatrywali im się z zaciekawieniem, ponieważ co pewien czas z pokrytych materiałem „instrumentów” rozlegało się w tramwaju mrozące krew w żyłach kwiczenie prosiaka lub sielskie gdakanie kury. Sam Derek wzbudzał także немало sensacji swoim wzrostem i aparycją.

W pewnej chwili podszedł do niego jakiś starszy pan, popatrzył mu z dołu na twarz i z nieukrywanym podziwem powiedział:

- Zbyszko Cyganiewicz, jak Boga kocham! To on!

Derek łypnął na staruszkę jednym okiem i nic. Tamten jednak nie ustępował. Ostrożnie zaczął macać bicepsy chłopaka.

- Rewelacja, rewelacja... - mruczał z zadowoleniem. - Chłopie, każdy cyrk cię zaangażuje. Chodź, pomogę ci! - zawołał wreszcie.

Derek spojrział na niego jak przez mgłę, ponieważ w wyobraźni widział właśnie rodzinę Gudłajów w blasku fleszy, ale natrętny jegomość nie dał się tak łatwo zbyć.

- No, panie siłacz, tam są łańcuchy do zerwania, podkowy... wszystko, co pan chce. Żeby to pana ojciec widział. Toż wstyd tak bezpańsko szwendać się po mieście. No, bierz się w kupę i wysiadamy - zarządził nagle miłośnik Cyganiewicza; wykonał przy tym unik i przyjacielsko zaprawił Derka hakiem w



żołądek.

Chłopak ocknął się natychmiast i warknął głucho:

- Czego, dziadu?

Staruszek spowaźniał momentalnie i surowo odpowiedział:

- Do cyrku chcę cię zabrać, młodzieńcze. Tam czeka cię kariera siłacza...

Nie dokończył, bo tuż przy nim kwiknęła nagle zabrana w celach muzycznych locha Gudłajów i cały tramwaj wybuchnął śmiechem.

- Paszoł won! Sam se idź do cyrku, ty grzybie! - zawołał z góry Derek.

Po chwili dał znak rodzinie i w pośpiechu wyładowali bagaże z tramwaju. Nie był zorientowany, gdzie się znajdują, ale instynktownie wyczuwał, że przemieszczają się właściwie. Ludzie coraz częściej ich chyba poznawali, bo co drugi oglądał się za nimi. Nawet ojciec i matka wzbudzali sensację. Na konkurs zresztą ubrali się ładnie, jak w niedzielę do kościoła. Matka miała na sobie różową garsonkę, brązowe pończochy i czarne półbuty na zielonym koturnie. Ojciec włożył garnitur w zieloną jodełkę, buty - otrzymane kiedyś w paczce od stryja z Ameryki - w stylu hollywoodzkim, a pod szyją zawiązał sobie białą muszkę w złote grochy. Ogólnie rodzina prezentowała się artystycznie.

Błądzili przez kilkanaście minut, aż wreszcie dotarli do Bazaru Różyckiego. Derek od razu domyślił się, że jest to z pewnością jakaś trupa teatralna, która wędruje po świecie i przedstawia rozmaite sztuki. Stosy ubrań, szabel, butów, czekoladek, cukierków, zabawek, futer i tanich pierścionków - wszystko to informowało chłopaka, że ma do czynienia z wędrownym teatrem na postojach. Z rozkoszą patrzył na setki ludzi przemykających między straganami i nie mógł się nadziwić, że na świecie jest tylu artystów. Jedli oni pierogi, pączki, ciastka, rurki z kremem, bezy i watę cukrową - słowem, same specjały.

Derek postanowił pokazać tej międzynarodowej gromadzie aktorów, że Polska również ma talenty.

Skrzyknął ojca i matkę, wgramolili się na pusty stragan i po

chwili już koncertowali. Bazar wkrótce jakby wpadł w szal. Wszyscy skupili się koło muzykalnej rodziny Gudłajów i słuchali. Niektórzy przecierali z niedowierzaniem oczy, inni zegnali się, a wielu zagadkowo pukało się w czoło. Bufonów takich było jednak niewielu. Większość klaskała i głośno wyrażała swe uznanie.

Gudłajowie szaleli. Zmieniali rytm i tempo utworów co parę sekund. Posługiwali się sprzętem tak niekonwencjonalnym, że niektórzy co wrażliwsi słuchacze mdleli lub dostawali płasawicy. Zaprezentowali tylko pierwszą część utworu, która cieszyła się takim powodzeniem, iż musieli prawie bez przerwy bisować. Koncert ten, potraktowany przez nich jako próba generalna, upewnił ich, że są objawieniem na światowym rynku muzycznym. To była sensacja! Ludzie zaczęli znosić rozmaite podarunki, a wielu dawało po prostu pieniądze. Derek podsłuchał nawet rozmowę dwóch muzyków - jednego znał z telewizji. Otóż muzyk ten mówił do drugiego:

- Awangarda, bracie, to gnój przy tym. Czysta sztuka. Nicość skoncentrowana w jednym punkcie. Genialne, rzucam wszystko i biorę się za hektary. Ci mają klasę! Humor, oryginalność słowno-muzyczna, niekonwencjonalne instrumenty. A jakie buźki! Stary, powodzenie murowane!

Tyle tylko udało się Derkowi podsłuchać. Nie bardzo rozumiał, o czym była mowa, ale słowo awangarda znał skądinąd, więc ogólny sens był dla niego jasny.

Zapewne wszystko trwałoby jeszcze dłużej, gdyby nie stróż porządku publicznego, który nakazał ludziom rozejść się, a rodzinie Gudłajów zwinąć „instrumenty”. Wypisał im również jakąś kartkę i kazał sobie wypłacić pięćset złotych. Stary Gudłaj zapłacił czym prędzej - wołał z milicją nie zadzierać - i cicho oddalili się od feralnego miejsca. Żegnał ich wiwatujący tłum, ale oni woleli już nie odpowiadać.

Są ludzie i miejsca
Jest podtrzymywana tradycja narodowa.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Po uciążliwej wędrówce stanęli Gudłajowie przed rozłożystym budynkiem, który u góry miał dumny napis: Hotel „Victoria”. Ojciec wyjaśnił rodzinie, że był już kiedyś w hotelu i można tam było dobrze zjeść. Ten spodobał im się wyjątkowo - duże błyszczące szyby, piękne samochody koło drzwi i lokaje przy wejściu, jak w dawnych pałacach.

Ruszyli różnym krokiem. Drzwi same się przed nimi rozsunęły, na co matka powiedziała, że nie wejdzie. Ojciec też ugiął się w kolanach i jęknął:

- Chryste Panie, zwidy...

Tylko Derek, który miał inżynierską duszę, nie uląkł się.

- Co wy, ojciec, techniki nie widzieliście? Toż tam na dole - tu pokazał kratę pod drzwiami - siedzi taki jeden kurdupel i patrzy na nas. Jak chcesz wejść, to tamten pociąga za dzyndzel i gotowe. Co wy, piwnicznika się boicie? - przekonywał ich namiętnie.

Złani ze strachu potem znaleźli się wreszcie wewnątrz budynku. Derek przytomnie spojrział na zegarek ojca i wydał komendę:

- Cztery godziny jeszcze będziemy czekać. A potem pogonimy te wszystkie kapele, he, he... Teraz trza się oporządzić. Ojciec, ile zarobiliśmy na tych występach?

- Dużo, synu. Sześćdziesiąt pięć badyli - wyszeptał stary i podrapał się za uchem.

Poczuli się lepiej. Tuż naprzeciwko wejścia otworzyły się nagle drzwi i Gudłajowie zobaczyli ogromną salę zastawioną stołami z jedzeniem.

- Wesele - ocenił krótko Derek i pociągnął tam rodziców. Klatki złożyli na kupę w rogu sali, a sami zasiedli do stołu.

Wtedy zaczęli wchodzić inni. Goście, uczestnicy - o czym Gudłajowie nie mogli wiedzieć - Międzynarodowego Zjazdu Firm Polonijnych. Towarzystwo było dystygowane, różnej płci

i rasy. Koło Derka usiadła jakaś korpulentna dama o wyraźnie negroidalnych rysach. Chłopak popatrzył na nią z niesmakiem, po czym włożył głowę w półmisek i zajął się jedzeniem. Murzynce jednak spodobał się ten ogromny, brodaty biznesmen, przechyliła się w jego stronę i zaskowyczała:

- How are you?

Derek oniemiał na moment. Miał wrażenie, że źle usłyszał, bo rzucił krótko:

- Weź no jeszcze raz zagadnij, czarna. I wypluj, co tam w gębie masz.

Murzynka popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem i zapytała:

- Vielleicht sprechen Sie deutsch?

Nie, tego było już za wiele! Szwabski język w towarzystwie Derka Gudłaja?! Zerwał się - czym zwrócił na siebie powszechną uwagę - i zawył:

- To po to żeśta wojnę wygrali, żeby faszystów na wesele zapraszać? I to jeszcze czarnych? Tfu! Noga moja więcej tu nie postanie. Ojciec! Matka! Zabierajta co nasze i jazda stąd!

Goście Międzynarodowego Zjazdu Firm Polonijnych popatrzyli po sobie, wreszcie ktoś zaśmiał się i zaczęto klaskać.

- Bravo, bravo! Wunderbar! Wir möchten das noch einmal!

Tego jednak Gudłajowie już nie słyszeli. Posuwali się właśnie długim korytarzem w poszukiwaniu wyjścia.

Kroczyli tak dosyć długo, gdy podszedł do nich recepcjonista.

- Czego państwo sobie życzycie? - zapytał.

- Nie mogę nic zjeść, bo... - Derek zaczął wylewać na niego całe swoje rozgoryczenie.

- Proszę, ja zaprowadzę - przerwał mu recepcjonista i ruszył pierwszy.

- Państwo zapewne z Ameryki. To da się wyczuć. Długi pobyt trochę zniekształca język, ale najważniejsze, że państwo nie zapomnieliście.

Słuchając takich rozważań, dotarli do obszernej sali, gdzie wszystkie meble były białe. Spodobało się to Derko-wi, wyciągnął łapę i klepnął recepcjonistę w kark.

- No, nareszcie ktoś z jajami. Weź, bracie, zarządz trzy golony

i pół litra czyściochy. I co tam jeszcze macie dobrego - nakazał młody Gudłaj.

Pracownik hotelu był trochę poirytowany taką konfi-dencją, wietrzył jednak dobry interes.

- Yes, sir - przeszedł na angielski.

- Broń Boże, tylko nie ser. Mamy go dużo na co dzień -zaoponował żywo stary Gudłaj. - Może być to, co syn powiedział.

Recepcjonista zaśmiał się trochę sztucznie - jak z kiepskiego dowcipu - i odparł:

- Ależ oczywiście, za chwilę podamy tę kwintesencję polskości. Osobiście tego dopilnuję.

Gudłajowie nareszcie poczuli się swojsko. Stos klatek ustawili obok stołu, usiedli i z uwagą obserwowali poruszenie w gromadce kelnerów. Wreszcie trzech ruszyło w ich stronę i po chwili na stole stały same ludowe przysmaki: wódka czysta, ogórki kiszzone, swojska kielbasa, śledziki w occie, pasztet z zająca, pieczeń z dzika i szynka wędzona, nie licząc ogromnej ilości innych przystawek.

Rzucili się zachłannie na jedzenie, czym wypłoszyli kelnerów do kuchni. Stamtąd potajemnie ich obserwowano. Derek pożarł cały pasztet z zająca, wlał sobie w przelyk chrzan, buraczki i sałatkę z porów, po czym sięgnął po kielbasę. Zagryzał przy tym mocno chlebem i przepijał czyściochą. Ojciec i matka również nie próżnowali - mlaskając z zadowoleniem, pocierali tłuste ręce o obrus i dzielili się sprawiedliwie pieczeńią z dzika. Ojciec przechylał co parę sekund butelkę, czkając przy tym rezolutnie. Stary kelner dyskretnie zbliżył się do ich stolika i postawił następną porcję wódki.

- Czy coś jeszcze państwu podać? - zapytał.

Ojciec strzelił w niego przekrwionym wzrokiem i z pasją gryząc ogórka, odrzekł:

- Siadaj pan, napijemy się razem.

- Przykro mi, że muszę państwu odmówić, ale jestem w pracy - udał zgorszenie stary kelner.

- W pracy? A w pracy to inaczej smakuje? - skoczył na niego Gudłaj. - Bierz szklankę i siadaj z nami. Rodakom chyba nie

odmówisz?

I kelner nie odmówił. Całe jego doświadczenie zdało się na nic - nie pomogły przelknięte ukradkiem kawałki margaryny ani oliwa wypita ze stołowego kompletu przypraw; zwałił się po godzinie pod stół i zamilkł. Pozostali kelnerzy z żalem zanotowali ten afront i ukradkiem wynieśli spitego na posterunku kolegę. Stary Gudłaj tylko na to czekał, bo nie puścił od stołu żadnego z nich. Zamknięto więc drzwi do restauracji, powieszono kartkę z napisem: Sala wynajęta w godz. 16-19 i zaczęto się bawić. Cała obsługa zapomniała prędko, po co zjawiała się rano w pracy; Gudłajowie zdawali się być niezmordowani.

Kocham was, niespodzianki!
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Około szóstej Derek wstał nagle i zahuczał:

- Gdzie tu jest droga?! Muszę się wyszczać.

Jeden z młodszych kelnerów podniósł się z trudem, wziął Derka pod ramię i ruszyli do toalety. Po drodze -niestety - kelner gdzieś się zapodział, a młody Gudłaj sam stanął przed jakimiś drzwiami, na których widniały dwa różne znaki: kółko i trójkąt. Parę minut starał się sobie przypomnieć, co to za rebus, ale mu nie wychodziło. Zdenerwowany wtargnął na chybił trafił do tych z kółkiem. Szybko się zorientował, że coś jest nie w porządku. Pod oknem stały dwie chude panienki, miały z barku na bark rozczochranymi kudłami, a co najważniejsze, smarowały sobie twarze jakimiś tajemniczymi specyfikami. Intelkt i wyobraźnia Derka zadziałały jak sowiecki granat i zimny pot skropił mu się w okolicach krzyża. Domyślał się już, kogo ma przed sobą. Jedna z pańienek lypnęła na niego krzywo i warknęła:

- Paszoł won, żłobie!

Gudłaj nie zareagował od razu, poruszył tylko nochem i nabrał powietrza. Panienki uznały, że przybysz jest niezbyt rozgarnięty, więc ruda odwróciła się i chwyciła Derka za kłapy marynarki.

- Ty gniady chudopachole, nie wiesz, że to babski kibel? - zasyczała mu w twarz.

Teraz jednak Derek utwierdził się ostatecznie w swych podejrzeniach. Podniósł łapę i ogromnym paluchem po-gmerał rudej w uchu. Potoczyła się pod ścianę i zamarła z przerażenia. Dostrzegła, że oczy napastnika przypominają dwa białe karmelki, takie same, jakie tak chętnie ssaly wszystkie młode pokolenia. Tu jednak nie było nic do ssania. Przestraszona perspektywą znajomości z tym osiłkiem z zachłannie wyglądającą mordą, która - tego była pewna - zwykle ożera weselne stoły, nie odzywała się.

- O wy, szpiegi przebrzydłe! - zaryczał Derek, czerpiąc sówicie

słownictwo z opanowanego do perfekcji języka telewizyjnych teledysków. - Maskujeta się w światowym przybytku jak Indianiny. Znam ja was, imperiały wredne. To tu żeśta przyjechały, żeby z zamalowanymi ryjami zasztyletować Wielkiego Wodza Sprawiedliwości? Ja wam teraz pokażę kryminalną scenę, he, he... - zaśmiał się szyderczo Derek.

Panienki skuliły się obie w kącie i milczały. Nie czuły w sobie mocy dyplomatycznej do rozmowy z asem kontrwywiadu europejskiego, jak oceniły w duchu Derka. Czekwały, że może je zostawi i odejdzie. Wolały nie udowadniać mu swojej niewinności. Oczekiwanie jednak nie zdało się na nic, młody Gudłaj dopiero nabierał rozpędu w swej detektywistycznej działalności.

- Jak się nazywata? - rozpoczął rutynowe przesłuchanie.

- Janina Seksiul i Władysława Chcica - bez chwili wahania odpowiedziała ruda.

- Chcica to ty. Inaczej mi nie pasuje - podsumował Derek i nonszalancko pstryknął palcami w stronę jednej z pań.

Odwrócił się i krokiem rewolwerowca podszedł do drzwi, aby podeprzeć je zapalką. Widział to na filmach. Teraz był pewny, że nikt go nie zaskoczy. Wystarczy, że ktoś wejdzie, i zapalka się przewróci, a on przyjmie podstępnego wspornika dwóch przesłuchiowanych agentek, przyjmie go jak Kojak. Ot, w mordę, w mordę i jeszcze raz w mordę, bez żadnych tam wypytywań.

- Od kiedy szpiegujeta? - wycedził przez zęby Gudłaj.

- My nie szpiegujemy... - zaczęła ruda.

- Co, nie? - huknął po prokuratorsku Derek. - Przecie widzę. Normalne ludzie tak nie wyglądają. Kudły jak tataraki na jeziorze babki Węgorzowej, nochale jak wnyki gajowego Dubeltowy, gały jak wierzeje w stodole starego Borsuczyny, a kiece... Takie tylko potępieńce noszą, widziałem na obrazkach księdza Biedy. Widzita, że dowody mam i nie ma się co wymigiwać. Szpiegi wy, tak?

- Pan nas z kimś pomylił - odważyła się zaoponować Seksiul.

Nie miały czasu żałować tych słów. Gudłaj chwycił jedną za łydę, drugą za grzbiet i zakręcił obiema młynka w powietrzu.

- Zara wam paluchy od nóg w kran włożę, to wszystko

powiecie - zagroził. - Wodę się odkręci i będzieta gadać, raszple jedne.

- Ratunku! - zaczęły pisać obie panienki.

W tym momencie jedno z żeberek kaloryfera odchyliło się i ze środka wyjrzała mała główka jakiegoś osobnika.

- Co to za awantury? - rozległ się cienki głosik. - Jestem dyrektorem tego hotelu i czuwam nad wszystkim o każdej porze dnia i nocy. Moje personalia są głośne w kołach śmietanki towarzyskiej całego mia...

-Ależ dyrektorze, poznajemy pana! - wykrzyknęły radośnie obie przesłuchiwane. - No i co teraz? - zwróciły się butnie do Derka.

- Co to za grzyb? - powiedział Gudłaj, który nie zraził się nagłym wtargnięciem do ubikacji przedstawiciela środowisk dewizowych i nie tylko.

- To pan dyrektor Alibaba, który zaraz zrobi z tobą porządek, ty bandziorze - atakowały go coraz odważniej panienki.

- Słuchaj, Alibabo, te purchawy są podejrzone o planowanie zamachu na Wielkiego Wodza Sprawiedliwości. Za ich ukrywanie grozi - tu Derek przypomniał sobie często słyszaną w dzienniku telewizyjnym formułę - pięć lat pozbawienia wolności. Chcesz być przyskrzyniony, grzdylu?

Dyrektor, nie wychodząc z kaloryfera, zapytał już znacznie spokojniejszym tonem:

- Kim pan jest?

- Derek, syn godnego rolnika i obywatela. Szkoda czasu na gadanie. Gdzie tu jest centrala szpiegowska?

-Tam - odparł dyrektor Alibaba, wskazując palcem rezerwuar.

- Co dalej? - zapytał szeptem Derek, kiwnąwszy głową.

- Naciśnij pan to pokrętko - rzekł Alibaba.

Gudłaj wrzucił obie panienki do muszli klozetowej, która według dyrektora była tajnym kanałem przerzutowym agentów do centrali, i przycisnął wystającą z boku gałkę. Rozległ się szum spuszczonej wody, a po chwili niebezpieczne terrorystki zniknęły.

- Dobrze! - docenił kulturalne przejście Derek. - A niech tam! - dodał i splunął siarczyście na jeden z błyszczących od czystości

kafelków.

Nie zdążył odsapnąć, bo rozległ się chrobot i podłoga pod oknem powoli się rozsunęła.

- A to co? - naprężył się z ciekawości Gudłaj.

- Nie wiem, jak Boga kocham, nie wiem - wyjąkał zaskoczony dyrektor. - Może to tajemne lochy?

- Co? Lochy? - Grdyka młodego Gudłaja nigdy jeszcze tak szybko nie przelykała śliny. - Idziem tam. No, wylaż z tego spichlerza, he, he...

- Może tam lepiej nie wchodzić. Zawiadomimy milicję i oni się tym zajmą. Taka wyprawa bywa często niebezpieczna - biadolił dyrektor.

- Aż ty gnoju! To odkrycie naukowe chcesz milicji oddać? Teraz to ja ciebie w dyby zapakuję i będziemy razem badać pieczarę. Nie uciekniesz mi, zdrajco - zawołał Derek i jak zwykle szybki w działaniu wyrwał dyrektora z żeberek kaloryfera, potar mosiężną krawężnik, aż tamten stracił oddech, i nałożył mu na głowę deskę klozetową.

Dyrektor Alibaba posłusznie przyjmował działania zabezpieczające Gudłaja, obawiając się rozjuszyć tego zwierza, jak go zawistnie nazwał. Nie chciał zresztą trafić za obiema agentkami do centrali.

Schodzili po mokrych i porośniętych mchem schodach. Podłoga nad nimi zasunęła się cicho i ogarnęły ich ciemności.

- Masz świecę, Alibaba? - rozległ się tubalny głos Derka.

- Nie mam. Musimy wracać - próbował ratować sytuację dyrektor.

- Ja ci wrócę, ja ci wrócę, że cię święty Pióter nie pozna - zawołał Derek. - Ściągaj marynarkę, ty tchórze. To będzie nasza świeca, he, he...

Derek jednak nie zdążył podpalić marynarki dyrektora, ponieważ gdzieś w dole błysnęło nagle światelko i przez sekundę zrobiło się jaśniej. Chwycił więc dyrektora za rękę i szybko zbiegli po schodach. Stopniowo robiło się coraz widniej. Wreszcie stanęli na kamiennej posadzce długiego korytarza. Na ścianach paliły się w pewnych odstępach lampy. Sprawa wydawała się podejrzana. Derek ruszył skokami wzdłuż

tajemniczego przejścia. Nagle zastąpił im drogę zgrzybiały dziad z kosturem i zacharzał:

- Gdzie? Skąd znacie drogę?

- Ktoś ty, łachudro? - z obrzydzeniem wykrztusił Gudłaj. - Mów, bo się krew poleje.

- Jestem Charon, przewożę dusze zmarłych na drugi brzeg strumienia, który tutaj płynie. Wy chyba jednak nie jesteście duszami, prawda?

- Nie - wyrwało się dyrektorowi.

- On nie, ale ja tak - poprawił z zadziwiającą zręcznością Derek. - Ale, ale... Zara będziesz duszyczką, he, he... - dodał, poczym przykrył dyrektorowi głowę klapą od deski i zażegnał nieprzewidziane uwagi z jego strony. Przeczuwał, że trafił do kopalni soli w Wieliczce, a ten staruch handryczył się z nimi, bo chciał zarobić parę groszy. Dobra, niech mu będzie - pomyślał Gudłaj i wyjął z kieszeni pięćset złotych. - Na, weź se, dziadu - powiedział, podtykając tamtemu pod nos banknot.

- Tu jest Hades i trzeba płacić bilonem - odrzekł, rezygnując z dużego zarobku, staruch.

Derek coś podejrzewał. Jakiś Hades, ten nie bierze pięciu stów, dusze zmarłych, strumień. Cholera, co to mogło być? Wieliczka powinna być słona - wpadł na pomysł i polizał ścianę. Tfu!

- Gdzie sól? - warknął wściekle Gudłaj.

- Jaka sól? - odpowiedział staruch pytaniem.

- Taka! - ryknął Derek i władował dziadka pod klapę deski klozetowej, gdzie warczał z niemocy dyrektor Alibaba. - Można se teraz popływać w tym strumieniu, barany. A o dusze zmarłych to się lepiej pomódlta. Co za zabobon w tej Warszawie!

Tuż pod ścianą zobaczył jakiś cień. Pies? Nie, to nie pies - pomyślał zaferowany.

- Stój, warchlaku! - krzyknął i jednym skokiem przydeptał stwora do posadzki. - Ktoś ty?

- Jestem szczurem - odezwało się coś spod buciora Gudłaja.

- Jak to, gadający szczur? - Derek był wyraźnie zaskoczony. - Tu, w stolicy, takie rzeczy? Skąd się wzięłeś, chłapaczu, hę?

- Zostałem tu potajemnie wyhodowany dla podgryzania fundamentów... Reszta jest tajemnicą. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że w aktach profesora Debilara figuruję jako szczur--robot. Tak naprawdę to mu uciekłem. Ten idiota myślał, że całe życie będę gryzł fundamenty. Podgryzę, ale jemu, jak mi się zechce. Teraz mam inne zainteresowania. Puść mnie, bo słabnę... Przygniotłeś mi główny kabel. Puść...

Derek zdjął powoli but z nieszczęsnego szczura-robo-ta i zaśmiał się rechetliwie pod nosem. Tylko tego brakowało! Postanowił zaprzyjaźnić się z gadającym szczurem. Przynajmniej kontakt z prawdziwą nauką będzie miał.

-Jak się nazywasz, szczurze? - zapytał, gdy tamten chwilę odsapnął.

- Ruleta Joe, dla przyjaciół hrabia Żeton - z ekskluzywnym akcentem informował szczur.

Derek zawahał się chwilę, ale ostatecznie kiwnął głową i odparł:

- Dobra, dobra... Dla mnie będziesz Rulek. Powiedz, co zrobić z tymi w dybach? Idę dalej, a skazańców nie będę targał ze sobą.

- Sprzedamy ich - spokojnie odpowiedział szczur. -Uważaj!

Zapukał ogonem w ścianę i po chwili zjawił się koło nich siwy, dystygowany pan.

- To stary Almeida - poinformował Derka szczur. -Ma tu niedaleko majątek i kupuje niewolników. Ciągłe mu uciekają, więc musi uzupełniać braki. Za tych dwóch - zwrócił się do przybyłego - dasz pończochy dla mojej żony, trzy pary skarpet i młynek do kawy. Dla dobrego zakończenia dorzucisz jeszcze żelazko z termoregulatorem.

- Si, si, senior Ruleta - powiedział Almeida. Potem wyciągnął pięknie wyprawioną walizkę z czarnej skóry i wyjął żądane artykuły. - Ja zawsze się z panem dogadam. Taki jestem towarzyski, taki kulturalny, subtelny...

- Niech pan już idzie, panie Almeida. Niech pan opowie tym dwóm, jaki to z pana dobrze wychowany plantator. Do widzenia - przerwał zdecydowanie szczur, a odwróciwszy się w stronę Gudłaja, wyjaśnił: - Jakbym go teraz nie zatrzymał, to

opowiadałby nam o swoich zaletach przez miesiąc. Żadna siła go wtedy nie przegoni. Nawet by z nami spał. To skomplikowany człowiek.

Derek zastanawiał się nad tym, co tu zobaczył. Zaczynało mu się to wszystko podobać. Gadające szczury i w dodatku hrabiowie; plantator Almeida, który kupuje niewolników, bo ciągle mu uciekają; praktyczny handel wymienny... To było bardzo pociągające. Postanowił wykorzystać szczura jako przewodnika.

- Prowadź, Rulek! Zobaczmy, co tu u was do nareperowania, he, he... Przez tę rzekę mnie przewieź. Jest tam jaka łódź? - zaniepokoił się nie na żarty, gdyż miał na sobie odświętny garnitur i nie mógł go zamoczyć przed występem w telewizji.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił szczur i ruszył.

Dotarli nad strumień, który - co Derek słusznie przewidywał - okazał się potężną rzeką. Szczur wyciągnął zza stosu kamieni łódź i spuścił ją na wodę. Popłynęli. Po drodze zaatakowała ich banda niezrównoważonych piranii, jak określił to szczur. Zeżarły całe dno łodzi, ale do nich się nie dobrały. Wzięły Derka i szczura na swe grzbiety i grzecznie odstawiły na brzeg. Nawet się nie zamoczyli. Derek pogroził napastnikom i zarazem wybawcom, po czym westchnął:

- Durne ryby. Zeżarły łódź, a nas nie ruszyły. U was tak zawsze, szczurze?

- Nigdy - zaprzeczył wyraźnie skonsternowany szczur.

- Nie wiem, co się stało. Chociaż...

- Noo? - nabzdyczył się Gudłaj.

- Nawet ryby nie lubią się przeżerać. A tyś wielki jak statek parowy.

- Dużo tu u was cwaniaków - stwierdził beznamiętnie Gudłaj i pokazał paluchem przed siebie.

Znaleźli się na przystani. Po lewej stronie widniał drogowskaz i napis: Polish Monte Carlo. The station. O la, la! Derek dobrze wiedział, że Monte Carlo to siedlisko zachłannych na pieniądze osobników. W filmach i w dzienniku nieraz go informowano, że lepiej omijać takie speluny. Co innego jednak instrukcje, a co

innego zadowolenie osobiste. Trzeba będzie zobaczyć tę zgniliznę - zdecydował.

- Pokaż, szczurze, jak tam jest w środku - zachęcił kompana do dalszej wędrówki.

Kiedy weszli, o mało nie utonął w oparach dymu. Zaraz za drzwiami rozebrano go do naga, zostawiając mu tylko foliowy woreczek z pieniędzmi. Nie zauważył, kiedy znalazł się na jakiejś podłodze i pięciu niewyrośniętych facetów zaczęło go ugniatać. Przyczaił się i obserwował. Może to taki zwyczaj. On kulturę swoją miał, więc niech sobie trochę użyją - pogodził się w duchu. Później znów go ubrano i znalazł się w ogromnej sali, gdzie przy długich stołach łążyły tłumy podejrzanych chuderlaków. W pewnej chwili ktoś go popchnął i wylądował na krześle, które natychmiast przymocowano do stołu.

- Ile pan wymienia? - usłyszał koło ucha głos.

- A gównem wymieniam! - wydarł się poruszony bezczelnością nieznajomego. - Co to, nie wolno se posiedzieć?

- Postaw worek na tym stole i poczekaj - doradził cicho szczur, który znów znalazł się przy nim.

- Na! - Derek rzucił worek z pieniędzmi i poklepał szczura po karku. - A tamten co tak mordę wydziera? - wskazał krupiera.

- Puszczaj kulkę w ruch - odpowiedział szczur.

Derek siedział jeszcze pół godziny przy stole gry. Siedziałby może jeszcze dłużej, gdyby nie góra pieniędzy, która nagle zwała się na niego z sufitu. Powiedzieli mu, że wygrał i że jest miliarderem. Nie bardzo rozumiał, czego ta hołota od niego chce. Wyrwał się z napierającego tłumu, podeptał pieniądze i zawołał:

- Wy se tu kicacie, a ludzi do roboty nie ma!

Nie mógł w pełni rozwinąć swej myśli, bo z tłumu podeszła do niego korpulentna dama z silnie utlenionymi włosami.

- Jestem siostrą Marii Callas - przedstawiła się, składając przed Derkiem dystyngowany ukłon.

- Boguś! - zapiszczał szczur radośnie. - Ty znowu u nas?

- No, na mnie pora - stwierdził Derek i rozejrzał się za wyjściem.

Nie był takim idiotą, żeby nie rozpoznać mężczyzny w siostrze

jakiejś Marii. Nazwiska tamtej nie znał i nie miał zamiaru poznawać. Nie zdążył jednak odejść, gdyż od utlenionego na babę fałszywca zaleciał go straszliwy zapach. Przyzwyczajony do świeżego i naturalnego powabu ludzkiego potu nie wiedział oczywiście o istnieniu takiej głupoty jak perfumy. Dałby on im wszystkim bobu za te wymysły. Teraz jednak cug ugodził go w chrapy, przy-dusił do kości naczynia krwionośne i zamglili wzrok. Po raz pierwszy w życiu Gudłaj padł. Broń chemiczna - jak później w duchu to określił, gdy obejrzał program pod tytułem Poligon - powaliła go na amen.

Kiedy wróciła mu świadomość, stwierdził, że znajduje się w dziwnie znajomym miejscu. Nie było dymu, wyjąca za stołem i szczura Rulety. Siedział sobie po amerykańsku w jakimś fotelu, a przed oczami miał wyraźny napis: recepcja. Nie wdawał się w odczytywanie tego dziadostwa, lecz zaczął porządkować skołatane myśli. Prawdopodobnie tędy szli z ojcem i matką na wyzerkę... Wyszczrzył do siebie kły w uśmiechu - miało się tę bystrość! Była najwyższa pora, aby odnaleźć starych i jechać na konkurs muzykujących rodzin. Kompozycja nie mogła się zmarnować. Wielki zegar na ścianie pokazywał, że zostało niewiele czasu. Derek miewał dni, gdy doskonale odczytywał godziny; tak właśnie było tym razem.

O swoich przeżyciach w lochach i doświadczeniach ze szpiegami postanowił nikomu nie mówić. Jeszcze by ojciec powiedział, że uchlał się jak Świnia i rozum mu odebrało. Nie, lepiej nie mówić - postanowił. Sam też nie był zupełnie pewny, czy mu się to wszystko nie śniło, tym bardziej że obudził się nie tam, gdzie powinien. Nabrał wstrętu do ukrytych pod ziemią nor w tym błyszczącym przybytku, na który ojciec mówił hotel. Wszędzie czuło się obleśność i zdradę. A w dodatku szwendali się jacyś gnoje, niby to faceci, a niby baby...

- Ciarastwo! - mruknął, splunął na posadzkę i ruszył na poszukiwanie starych Gudłajów.

Miał szczęście. Jasność bijąca od białych mebli naprowadziła go na trop. Siedzieli tam, gdzie ich zostawił. W dodatku tak się rozgościli, że spili do nieprzytomności cały personel hotelu włącznie ze sprzętaczkami. Zawiązali również silne przyjaźnie i

za nic w świecie nie chciano ich wypuścić.

- Ojciec, ile wypiliście? - surowo zapytał Derek.

Stary wykonał tylko znak krzyża, co oznaczało, że duch cesarza Franciszka Józefa ukazał mu się już trzy razy, ale mimo to jeszcze się trzyma.

- Grać możeta?

- A jak! - sprężyście odparli starzy Gudłajowie.

Derek pomyślał, że ktoś z tej spinej watahy kelnerów mógłby ich odwieźć swoim koniem pod telewizję. Rozejrzał się i powoli wyciągnął spod stołu najmniejszego kelnera w Warszawie, Fredka Gnoja.

- Podwiesz do telewizji, mały? - zapytał kulturalnie, ustawiając tamtego w pionie.

- No jasne! Hyk, hyk... Idziemy... hyk... - zapraszał ich Fredek, czkając.

Wyszli wreszcie, niosąc pod pachami klatki ze sprzętem muzycznym. Fredek podprowadził ich do najnowszego modelu mercedesa. Tego wieczoru jednak nic już Gudłajom nie imponowało. Po trzeźwemu pewnie nie weszliby do środka, ale teraz było im już wszystko jedno. Matka przeżegnała się tylko ukradkiem i zapytała ojca:

- Rakieta, ojciec? To my nie do telewizji, tylko na księżyc?

- Cicho, matka. Trza się śpieszyć, bo złączą bez nas -skarcił ją ojciec.

Na dachu hotelu pojawił się w tym momencie cień jakiegoś zwierza, w którym Derek z zażenowaniem rozpoznał swojego towarzysza, Ruletę. Szczur stał na dwóch łapach i żegnał go okrzykiem przyjaźni:

- A o forsę się nie martw!

-Tfu! - Derek splunął, czym wyraźnie pokazał, co o tym myśli, a usadowiwszy się wygodnie koło śpiącego za kierownicą kelnera, warknął: - Dawaj, dawaj, jedziem.

Przeciwieństwa lubią się - powiedział
mi pewien wysoki urzędnik.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Podczas jazdy Gudłajowie wprowadzali się w rytm i każdy ćwiczył swoją rolę. Wyhamowali tuż przy drzwiach do głównego gmachu telewizji, a kiedy wysiadali, wszystkie okna były otwarte. Niewątpliwie zazdroszczono im szyku i elegancji. Wejście Gudłajów do środka i przygniatająca ilość klatek ostudziły trochę rozeźlone panie redaktorki. Panowie redaktorzy zamrugali powiekami i z lękiem wskazali im oddzielny boks.

Program miał iść na żywo. Realizatorem całości był pan Zgliszcz, znany ze swoich wybitnych osiągnięć w różnych dziedzinach. Wszystko odbywało się sprawnie do momentu występu muzycznej rodziny Gudłajów. Rozpoczęły zdecydowanie i swojsko. Derek zagarnął pod siebie prawie dwustukilową lochę i wprawnie wyduszał z niej ostatnie tchnienie. Ojciec tymczasem straszył zezem specjalnie zabranego na tę okazję podwórkowego kota, Bory-nę, pogłębiając wściekle miauknięcia swoim wyciem. Całość uzupełniała matka, która karmiła drób własną piersią i obserwowała, jak stopniowo zaczyna on domagać się nieprzyzwoitym gdakaniem miejsca pod pomnik dla kurzego bohatera narodowego, dzielnego Koguta-Jajodruta.

Gudłajowie nie pozwolili słuchaczom oprzytomnieć, zmienili nagle styl. Zgromadzone w studiu rodziny i realizatorzy programu nie zauważyli nawet, kiedy zostali wciągnięci do wspólnego muzykowania. Derek wyciągnął zza pazuchy zwinięte w rulon transparenty, na których znajdowały się znane wszystkim podobizny: Siedzący Byk, Iwan Groźny, Hitler, Dżyngis-chan, Juliusz Cezar oraz Henryk VIII. Kolejno rozwijane obrazki wrywały z piersi zebranych w studiu niepowtarzalne dźwięki. Przy jednych rozlegało się smutne: uuuuuuu, przy drugich wesołe: urr-raaa, przy jeszcze innych groźne: mrrrrrr albo też pełne podziwu: ho, ho, ho.

Gdziegdzie słycać było pojedyncze, ale wyraźne: pa-ram-pa-ram lub skoczne: ta-ra-ra-ra. Ktoś nawet zareagował wyjątkowo melodyjnym: na-ni-na-ni-na i zakończył podwójnym: szaga-laga-la.

W drugiej części Gudłajowie zarzucili wszystkie poprzednie rozwiązania i ku zdziwieniu większości zamarli w bezruchu na kilkanaście sekund. Ludzie wpadli w szal i robili bokami z radości. Zapomniano, że program jest emitowany na żywo. Teraz rodzina przystąpiła do najważniejszego fragmentu swojego muzykowania. Derek wyjął z kieszeni plik pocztówek, położył je przed sobą na stoliku i zawołał w okienko najbliższej kamery:

- Usłyszyta teraz dźwięki, co to są, a niby ich nie ma. Znam ja was, psiekwie, lubita kupę huku. Patrza! - Tu sięgnął po dwie pocztówki. - To jest zabytkowy chutor, a tamto ranczo kowbojskie. Ustawiam te obrazki naprzeciw siebie i gra.

Stało się. Na ranczu coś zaczęło głośno rzeć, a od strony chutoru syczeć, jakby się szczapy w ognisku dopalały. Im głośniejsze było rzenie, tym mocniejsze syczenie. Widzowie wpadli w pierwszą na świecie muzyczną zasadzkę; również rżeli i syczeli na przemian, co wzmagało jeszcze oddziaływanie utworu, i niebawem (jak doniosły później telewizyjne sondaże) rżał i syczał cały kraj. Po chwili pocztówki zmieniły się i rozległo się wołanie starej Gudłajowej:

- Derek, poszczuj tą suką naszego! Zobaczmy, co będzie.

- Co naszego? Ja poszczuję - odparł Derek i ryknął w stronę pocztówki: - Dawaj go!

Pomnik rzymskiej wilczycy poruszył się, po chwili coś ciężkiego gruchnęło o podłogę i wokoło zabrzmiało donośne wilcze wycie. Wszyscy siedzieli jak sparaliżowani. Zew, zew krwi przemówił. Brakowało jeszcze trzasku bata, sań i Jacka Londona w czapce z lisa... Z rodzimej pocztówki wyskoczył przerażająco nierasowy kundel z zębami naczelnego dentysty PRL, z łbem żubra litewskiego, korpusem dyrektora zoo na Śląsku i łapami jak kafary do budowy mostów. Zwarł się z wilcząką niczym uderzenie pioruna. Chaos, chaos dźwięków. Wszyscy cierpieli, nie mogli tego słycać, a jednak... Gapiono

się i nie zatykano uszu. I dobrze się stało. Dwie minuty później rozległ się nowy głos: popiskiwanie. To rzymska wilczyca powiła na posadzce studia trzy małe szczeniaki. Teraz było przyjemnie, och, jak przyjemnie.

Kontynuując występ, Gudłajowie zaproponowali rozległą grę dźwięków: wystarczyło skrzyżować Garwolin z Krakowem i zaczynało się charczenie; Władystok z Luandą, aby usłyszeć parskanie i śmiech; hiszpański pomnik Don Kichota z bazarem koło dworca Keleti, żeby rozległo się mlaskanie. Było tego tak dużo, że występ mógłby trwać dwie doby. Realizator nie wytrzymał jednak psychicznie i nakazał przerwać program. Dał znak kamerzystom. Zauważyli go dopiero, kiedy ich kolejno poklepał po plecach; wściekli, że zmuszają ich do zakończenia tego koncertu stulecia, wyłączyli kamery. Wtedy stało się coś przerażającego! Kamery same pracowały dalej. Kamerzyści próbowali je rozkręcać, ale nic to nie pomogło. Sprzęt zachwyił się do tego stopnia, że nie reagował na racjonalne czynności. Powiało grozą. Bunt, perfidny i nieprzewidziany bunt maszyn. A tu koncert trwa...

Właśnie na rozkaz Derka Krzywa Wieża w Pizie jest remontowana przez inżynierów z Hawany i błyskawicznie zamienia się w schron przeciwatomowy. Po chwili z jeziora wylania się potwór Nessie, przedziera zarzuconą nań sieć i dobrowolnie kamienieje w Pałacu Kultury i Nauki. Wszystkiemu towarzyszy niezarejestrowana nigdy i nigdzie skala dźwięków. Ludzie rozumieją jedno - co tam Bachy, co tam Chopiny, Wagnery czy inne brzdączi! Tu rozlega się głos nowych czasów, to prawda i rozkosz dla pragnących szybko i bezboleśnie umrzeć! Wreszcie nie wytrzymało sumienie prezesa sieci telewizyjnej emitującej program i sprzęt przestał pracować. Było to najtajniejsze z tajnych sprzężenie zwrotne: niezawodna relacja między sumieniem prezesa i maszynami.

W studiu zrobiło się ciemno. Gudłajowie przerwali występ i po omacku zaczęli zwijać sprzęt. Derek zapakował przede wszystkim nieco osłabioną lochę do wora. Zawsze to jedna kolacja będzie - rozumował trzeźwo. Rodzina była rozeźlona. Nie zdołali wykorzystać jeszcze ponad trzystu pocztówek, na

których widniały naprawdę „muzykalne” motywy. Szlag by trafił takie konkursy, gdzie światło gaśnie!

Na parkingu przed budynkiem telewizji dopadli jakiegoś obywatela w samochodzie, postraszyli go matką i nakazali jechać na dworzec. Co miał robić? Pojechał. Podczas jazdy Derek z ojcem grozili mijającym ich samochodom, z których trzy zatrzymały się na słupie. Chłopak czuł, że żółć w nim gra. Genialne i nowatorskie kompozycje zostały niedocenione, mało, przerwane w trakcie ich odtwarzania, o czym - jak każdy artysta - Derek nie mógł spokojnie myśleć. Ambicja podpowiadała mu jednak, że dzień zemsty nadejdzie.

Na dworcu zaśpiewali kierowcy kolonijną pieśń pożegnania: Już rozstania nadszedł czas... Kierowca stał i patrzył, zapomniawszy z wrażenia, gdzie są biegi. Tłumy na dworcu ukryły twarze w kołnierzach i łkały.

Zajście to zdeorganizowało na dwie godziny rozkład jazdy autobusów podmiejskich, ale za to serca ludzkie otworzyły się ku sobie. Zamiast kłótni i przekleństw w kolejkach po bilety wołano teraz od razu walić w ryło. Tak reagował dworcowy lud na przyjaźń, która prostowała ścieżki, jakimi chodził człowiek. O ile przyjemniej było ubić, niż przytulić. W ten sposób Gudłajowie przypadkowo wyzwolili w ludziach prostolinijne i nieskomplikowane reakcje.

Niektórzy mają dziwne pomysły...
Lisek Chytrusek (wiek XX)

W rodzinnej wsi nikt ich nie przywitał. Derek powziął natychmiast pewne podejrzenia, ale się z nimi nie zdradził. Wolał położyć się spać i rano zadziałać. Podskoczył tylko pod furtkę sołtysa i narysował na niej trupa z puszczelami. Dal znak, że patron okolicy czuwa.

Przez ten wyjazd wieś jakby o nich zapomniała. Początkowo Derek myślał, że to sprawka sołtysa, ale trop prowadził gdzie indziej - do masarza Zenobiusza Kałdu-na. Wydało się, że to on obgadał przed ludźmi występ Gudłajów w telewizji i doniósł księdzu. Podobno oprócz donosu miał jeszcze ze sobą coś ciężkiego; kościelny później zdradził, że był to ptak w koronie.

Derek długo się zastanawiał, jaki interes mógł mieć w tym Kałdun. Wreszcie zagadnął pewnego dnia listonosza, który wszystko wiedział. Tamten wykręcał się jednak od odpowiedzi i udawał naiwnego, dopiero wycieczka wiadrem w głąb pięćdziesięciometrowej studni Gudłajów rozwiązała mu język. Kałdun obawiał się o swoją córkę, która była w wieku Derka - miała piętnaście lat. Dziewczyna rozwijała się nad podziw szybko i już teraz ojciec starał się wyeliminować możliwe komplikacje. Największą był oczywiście Derek Gudłaj, wród na ciele spokojnej wsi - chłopak o stu twarzach i tysiącu zawodach, czyli w miejscowym żargonie po prostu wariat. Taką etykietkę miał młody Gudłaj dużo wcześniej, ale obecnie stała się ona dla niektórych uciążliwa. Bano się jego nowych konstrukcji i nieprzewidzianych wizyt.

Derek wypuścił listonosza, zaprzysiągł go na ostrzu sierpa w stodole, że nic nie powie, po czym całe popołudnie metodycznie rznął deski na kraje.

W mieście, kiedy człowiek chce się czegoś dowiedzieć, zagląda do encyklopedii lub telefonuje do odpowiedniej instytucji; we wsi nie ma takich możliwości i należy zdać się na własny rozum. Czasami można zapytać sąsiada. Z Derkiem było trochę inaczej. On znalazł już dawno podręczny



informator - był nim telewizor. Wystarczyło jedno spojrzenie i przychodziła inspiracja. Tak było i teraz. Na podstawowe pytanie: co można zrobić z desek? srebrny ekran odpowiadał programem Zwierzyniec. Derek załadował więc wszystkie deski na furę i dokładnie o północy zajechał cicho pod obejście Kałduna. Pies tamtego chciał szczeknąć, ale zneutralizowała go suczka Woj-dygi, pożyczona zapobiegliwie na akcję.

Dalej była już tylko praca. Dom Kałduna został dokładnie obity deskami. Otwór wielkości zakrętki od słoika miał filtrować powietrze i umożliwiać kontakt z uwięzionymi. Derek przybił też na szczycie dachu ogromną tablicę z napisem: Ogród zoologiczny. Nad ranem - przez nikogo niewidziany - udał się do siebie.

To dopiero była radość! Najpierw oglądali Kałdunów (ojca, matkę i córkę) ludzie z rodzinnej wsi, później przyjechali z powiatu, aż wreszcie po tygodniu zawitała wycieczka „Orbisu”. Wszyscy turyści przyznawali, że takich okazów i gatunków nie widzieli nigdy. Sugerowali nawet, że to może z przemytu, ale dowodów nie znaleziono. Najbardziej radowano się, gdy uwięzieni zaczynali rozmawiać. Był nawet pomysł, żeby ich nagrać i puścić w radiu, ale naczelnik gminy zabronił. Wyłączość miała jego instytucja.

Zoo pilnował specjalnie wynajęty człowiek, który karmił okazy i sprzątał teren. Jednak marnie musiał je żywić, bo kiedy ktoś ze zwiedzających dla zabawy wpuścił do środka kota, po chwili przez otwór do oglądania wypadły tylko kosteczki.

Z kolei pewien zoolog z Finlandii chciał pogłaskać młodą samiczkę i stracił trzy palce. Jemu nie zwrócono już nawet kosteczek... Zabrał tę historię do swojego kraju, gdzie udzielił paru wywiadów i podobno nieźle na tym zarobił.

Największy sukces w nauce o zwierzętach zanotowano przy okazji zainicjowanego eksperymentu, który miał wykazać umiejętność przystosowania się kałduniaków (jak nazywano okazy) do nowych warunków. Podjęto decyzję i potajemnie wpuszczono do środka parę tygrysów bengalskich. Jakież było zdziwienie badaczy, gdy jeszcze tego samego dnia tygrysy przyłgnęły do wizjera i zaczęły błagać ludzkim głosem o

zabranie ich z powrotem do Warszawy. Dały też do zrozumienia, że u ich współmieszkańców występują niebezpieczne anomalie hormonalne, one zaś nie przywykły kłać swojej rasy. Oczywiście szybko je zabrano i po kilku tygodniach pojawiło się na rynku księgarskim kilka nowych prac habilitacyjnych. Jedna z nich nosiła wielce obiecujący tytuł: Tygrys bengalski a mowa ludzka w aspekcie popędu płciowego człekopo-dobnych kałduniaków.

Po tym wydarzeniu Derek uznał, że zoo należy zlikwidować. I znów pewnej bezksiężycowej nocy zakradł się tam samotnie, popatrzył krytycznie na „utopionego” w bimbrze strażnika i przystąpił do rozbiórki.

Bardzo się ludzie rano rozczarowali, gdy zobaczyli dawną chałupę Kałduna w pełnym blasku wschodzącego słońca, a samego gospodarza siedzącego z siekierą na progu. Nikt nie powiedziałby, że jeszcze poprzedniego dnia znajdował się tam ogród zoologiczny, a sam Kałdun był uznany przez najtęższych naukowców za kuriozalny okaz ssaka. Gdyby ktoś zechciał przyjrzeć się uważniej całej sprawie, z pewnością znalazłby tylko jeden ślad minionego - strażnika schlanego do nieprzytomności pod płotem zagrody Kałduna z tabliczką na szyi: Jestem ssakiem.

Chodziły później pogłoski po okolicy, że cała historia mocno pachnie miejscową inżynierią, ale oficjalnie nikt tego nie mówił.

Panowie! Panowie! Ja płacę!
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Okres ten obfitował w życiu Derka w kontakty ze zwierzyną i z przyjezdnymi. Jak w każdym szanującym się powiecie, w Otwocku także było koło myśliwskie. Oczywiście w terenie było ich znacznie więcej, ale to należało do najważniejszych. Przewodniczył mu sam Alojzy Szycha, a zastępował go 'prezes Ludożerców. Niebezpieczne to było towarzystwo i żądne krwi. Właśnie któreś jesieni upatrzyli sobie tereny łowieckie w okolicach rodzinnej wsi Derka Gudłaja.

Zarządzono więc wielkie łowy. Przed domem sołtysa zatrzymywały się przez cały dzień najróżniejsze samochody - od małego fiata do służbowego autobusu. Dom sołtysa o mało nie rozpadł się pod naporem skrzynek z napojami orzeźwiającymi. Ludzie we wsi myśleli, że zjechała do nich co najmniej gwardia przyboczna dostojnego emira z Bagdadu - same brzuchy, strzelby i baldachimy, pokrywające sołtysowy ogród. Przez to wszystko przebijały się jednak akcenty rodzime - zielone kapelusiki z piórkami. Starszyzna wsi z uznaniem kiwała głowami, chłonąc bohaterskie monologi myśliwych. Alojzy Szycha siedział na składanej „sofie” i z namaszczeniem przemawiał:

- I powtarzam wam, ten wychodzi mi z prawej, a tamten z lewej. A ja nic. W końcu zebrałem się w sobie, pokazałem im palcem mój nowy sztucer, a one w podskokach umknęły. Tak, tak, dwa niedźwiedzie grizzly przede mną uciekły... Znały się bestie na broni, nie ma co.

Spojrzenia przybocznych słuchaczy Szychy zatrzymały się z szacunkiem na kolbie jego zasłużonego sztucera.

- Bez jednego strzału? - upewniał się ktoś z podziwem.

- Bez jednego! Widzicie, dobry zwierz zna się na dobrej broni, a niedźwiedzie to prawdziwi rusznikarze. Dlatego teraz strzelam spod marynarki, żeby się nie poznały, z czym przychodzę.

- A skąd te nacięcia na kolbie? - nalegał inny.

Alojzy Szycha nadał się - w czym przypominał prawdziwego emira - zarechotał głośno i powiedział:

- Na kolbie, panowie, są same żubry. Taką mam słabość, że lubię strzelać tylko do grubego zwierza. Jeżeli oczywiście nie zna się na broni i nie ucieka. A żubr to zwykły dureń leśny. Z kamienną twarzą podpuszczam go na wyciągnięcie ręki i strzelam między oczy. Wzrok mam dobry, więc hipnotyzuję go do ostatniego momentu.

Towarzystwo patrzyło na kolbę i rachowało nacięcia. Znamca zapewne zdziwiłby się ich liczbą, ponieważ przekraczała ona wielokrotnie pogłowie tych zwierząt w Polsce. Wszyscy jednak wierzyli w szczęśliwą gwiazdę Szychy oraz jego obycie z enklawami leśnymi.

W innej grupie wyróżniał się chudy ginekolog, Lilek Kij. Jego także wachlowano oddechami i ciekawie nadstawiano uszu. Mówił on dosyć enigmatycznie, ale ogólny sens był uchwytny.

-Ja, panowie, to tylko hyc! hyc! hyc! Drzwi się otwierają, ja hyc! Drzwi się zamykają, ja hyc! Coś się poruszy, ja hyc! Wchodzi ordynator, ja hyc!

Tutaj ginekolog Kij spostrzegł, że zapędził się trochę za daleko, i zagłuszył chwilową konsternację beczącym śmiechem.

- Panowie, lata pracy - kontynuował - składają się na hycanie. Robię to prawie bez przerwy, z przyzwyczajenia... Hyc! hyc! Nawet las mnie nie uspokaja. Teraz się ledwie hamuję, ale na polowaniu na pewno hycnę. Hyc! Zdałoby się hycnąć na coś krnąbrnego, hyc! hyc!

Uczestnicy polowania nie domyślali się nawet, że czujne oko i ucho Derka Gudłaja może im w skrytości sprzyjać Kręcił się w pobliżu z pompką od roweru, słuchał i głęboko nad czymś myślał. Nie zauważył także zazdrosnych spojrzeń przyjezdnych, którzy podziwiali broń, z jaką się obnosił. Prezes Ludożerców zbliżył się nawet do niego i zagadnął: ,

- Spluwa? To wy pewnie ubiliście Banderę?

Derek nie bardzo wiedział, o czym tamten mówi, więc w milczeniu zaprzeczył. Na to prezes uśmiechnął się przebiegle zrobił dwa kroki do tyłu.

- W porządku. Mnie tu nie było. Wszystko rozumiem - syknął.

Derek nie mógł się połapać, o co tamtemu chodzi. Facet najpierw pokazał palcem na pompkę i zapytał, czy to spluwa, później oskarżył go o strzelanie do bandery. Gdyby nie goście, Derek wyjaśniłby mu, że lubi morze, a w dzienniku widział już raz banderę. Powiewała na promie. Tylko głupek mógł strzelać do bandery - przemyślał problem młody Gudłaj. I to z pompki.

Pora polowania zbliżała się. Nie wszystko jednak układało się pomyślnie, gdyż sołtys nie mógł znaleźć żadnej zwierzyny w lesie. Zadbał o naganiaczy i na tym się skończyło. W lesie były tylko ptaki, zaskrońce i muchomory sromotnikowe. Przerażony pobiegł więc do zagrody Gudłajów i zaczął błagać Derka o wsparcie.

- Ratuj! Tyś przecie człowieka-świnie zrobił. Trza miastowym dać coś na strzał, a tu w lesie pusto. Toć oni wioskę wystrzelają, jak zwierza nie będzie. A tu jeszcze Szycha żubra chce.

Derek postać chwilę, po czym zbliżył się do studni i trzy razy uderzył łbem w obręcz. Widocznie znalazł rozwiązanie, bo wyrzucił z siebie:

- Idźta, sołtysie, i powiedzta, że zwierz jest gotowy. Powiedzta, że nie może się doczekać polowania.

Uradowany sołtys zaniósł myśliwym pomyślną wiadomość i niebawem łowy ruszyły. W gąszcz leśny zanurzali się grupami. Od samego początku wypatrywano uważnie celu. Knieja szumiała groźnie, zewsząd dolatywały odgłosy zwierzyny.

Alojzy Szycha skradał się w otoczeniu swojej świty i drżał z ochoty do strzału. Przekładał sztucer z ręki do ręki i co chwila spoglądał w celownik. Nagle usłyszał za sobą trzask łamanych gałęzi i nieopodal rozległ się krzyk:

- Uważajta, żubr was zachodzi od tyłu!

Szycha obejrzał się i poczuł, że portki zaczęły mu niebezpiecznie falować. Wprost na niego pędził ogromny, pochylony cień.

- Sekretarzu, hipnotyzujcie! - zapiszczała jak na komendę cała świta.

Nie wystarczyło już jednak czasu na bioprądy. Wszyscy zamknęli oczy i oczekiwali śmierci. W pewnej chwili łomot galopującego żubra ucichł i rozległ się głuchy jęk:

- Noo, zabijta mnie, bo gorąco...

Ale w miejscu, gdzie stała grupa łowiecka Szuchy, pozostał tylko pokaźny dół. Tak bardzo pragnęli oni zniknąć. Żubr stał chwilę zdziwiony, po czym sięgnął racicą do góry i zdjął sobie ogromny łeb.

- Tfu! Ojciec, wychodźta! Koniec polowania. Uciekli. -Gudłajowie zdjęli zimowe kozuchy i zrezygnowani rzucili je na trawę. - Ojciec, my na pewno wyglądali za groźnie, dlatego nie strzelił - rozważał Derek. - A Słodowy mówił, że niczym się nie różnią od prawdziwych.

Później okazało się, że myśliwi z pianą na ustach dotarli pod dom sołtysa. Kilku zapomniało nawet o swoich samochodach i biegło tak aż do samego Otwocka. Podobno teren łowiecki obfitował tego dnia w jakieś niecodzienne wydarzenia. Jednemu z myśliwych pokazał się na przykład prawdziwy dinozaur, który przy tym cały czas warczał i wypuszczał dym; następny mówił, że natrafił na gniazdo smoków wawelskich, które poprosiły go, żeby przyniósł im barana bez siarki; inny spotkał Kaczora Donalda i uciekł, gdy tamten chciał dać mu gumę do żucia; największy lęk wzbudziły jednak trzy niedźwiedzie, które pod uschniętym bukiem zajadały z menażek grochówkę i popijały spirytusem.

Pożegnania i pieczeni z dzika nie było. Myśliwi rozjechali się indywidualnie, a sołtys jeszcze przez tydzień zbierał po lesie porzucone kapelusze i strzelby. Załadował to wszystko do worka, zakopał w piwnicy i czekał wojny.

Od tamtej pory nikt nie zajechał do Derkowej wsi na polowanie; tylko o prezesie i jego przełożonym dotarły skąpe, niesprawdzone informacje, że przeszli oni na ścisłą dietę. Podobno zmienili też religię i uwierzyli w reinkarnację. Obaj nie mogą również patrzeć w lustro - jeden widzi tam żubra, drugi pompkę od roweru.

Namiętność przywdziewa często
maskę nauki.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

W wieku siedemnastu lat Derek doszedł do wniosku, że powinien zostać uzdrowicielem. Obejrzał kilka programów w telewizji, wysłuchał audycji o Harrisie i Nardel-lim, po czym skupił się na sobie. Najbardziej przekonał go do tych praktyk jeden spryciarz w studiu, który tresował kwiaty. Podstawiał paluch pod liście i wołał:

- I proszę popatrzeć, roślina się chowa!

Następnie stawał kilka metrów od doniczki z kwiatkiem i demonstrował, jak to rośliny nie lubią hałasu. Wkładał palce do gęby i gwizdał, dopóki lodyga z pąkiem nie schowała się w piasek. Potem zbliżał się i raz jeszcze ryczał na całe gardło tuż przy doniczce:

- Aaaaaaaa! Zjem cię!

Po tym wszystkim odwracał blat redakcyjnego stolika i okazywało się, że kwiat ze strachu przebił grubą płytę i zakwitł ku dołowi. Derkowi bardzo się to podobało. Szczególnie jednak wzruszył go pokaz uzdrawiania. Najpierw kamera pokazała prawie już nieżywego dziadka, po czym zatrzymała się na telewizyjnym znachorze z kępką trawy w rękę. Uśmiechał się on do widzów i mówił:

- Cudowne właściwości tej trawy pozwalają mieć nadzieję, że rychło będziemy wyciągać ludzi z za grobu. Moją rolą jest umieścić ją w odpowiednim miejscu na ciele chorego i skupić się na moment. Skupiam się tak długo, aż mi coś trzaśnie w głowie.

Po tych słowach zanurzał ręce z trawą pod kocem chorego i w milczeniu gmerał tam przez trzy minuty. Kiedy je wyjmował, widać było, że musiało mu już coś trzasnąć w głowie, bo zataczał się jak pijany, a gdzieś z boku dochodziły stłumione okrzyki: Szybko po karetkę! Dalej telewizja pokazywała tylko chorego dziadka. Niewidoczny głos odliczał: dziewięć, osiem, siedem... Przy zerze dziadek zrywał się z noszy, wykonywał

szaleńczą gimnastykę, wyzywał jakiegoś redaktora na rękę i pokonawszy go, zaczynał stepować i śpiewać a la Fred Astaire.

Derek przez miesiąc próbował tresować rośliny, ale w ogóle na niego nie reagowały. Trawy eksploatował tak zapamiętałe, że wkrótce bydło trzeba było gnać na wypas aż pod Otwock. Wściekał się okropnie i dopiero program o ogródkach działkowych pozwolił mu odetchnąć. Wyjaśniono tam, że do leczenia należy mieć specjalne zdolności i nie każdemu trzaska coś w głowie.

Zalew informacji wywołał u Derka jeden ogromny chaos. Bioenergoterapeuta, ascetyczny jogin i zwykły iluzjonista znaczyli dla niego zupełnie to samo. Podobnie zresztą myśleli wszyscy ludzie we wsi. Jegomością takiego zwali oni po prostu znachorem.

Ten człowiek ciałem należy do nas.
Duchem także, to oczywiste.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Radość Derka nie miała granic, kiedy któregoś dnia na płocie sołtysa zobaczył kolorowy plakat zapowiadający występ iluzjonisty Cieszył się tym bardziej, że za oknem panował mróz i oprócz telewizji nic innego nie było.

Tydzień przed występem zjechały do Derkowej wsi wszystkie chore babki z okolicy, a w kościele pełno było najrozmaitszych kalek i pokrzywdzonych. Odprawiano modły i czekano na wybawcę. Osoba cudownego znachora znajdowała się na ustach wszystkich. Sala w remizie została odpowiednio poszerzona i podzielona na sektory. Każdy otrzymał swoją karteczkę z numerem, więc porządek był zapewniony.

Nadszedł wreszcie dzień spełnienia. Wołga wioząca iluzjonistę minęła rogatki Otwocka. Nagle z rowów po obu stronach szosy zaczęły wylaniać się sylwetki pochylonych motocyklistów w kosmicznych kaskach na głowach. Stopniowo dołączyli oni do jadącej wołgi i po pewnym czasie pilotowało ją ponad dwustu „jeźdźców”. Iluzjonista zapał się nogami o przednie siedzenie i szepnął do kierowcy:

- Co im się stało, nie wiecie?
- Chyba pana tak witają - nieśmiało zasugerował kierowca.
- Tak? - ucieszył się prestidigitator. - To pokażę im w nagrodę jakąś sztuczkę.

Otworzył okno i na oczach jadącego za nimi peletonu zademonstrował niekończące się wyciąganie tysięcy-towych banknotów z rękawa. Motocyklistów ogarnął szal, gdy zobaczyli, że znachor od dziesięciu minut produkuje pieniądze i rzuca je na tylne siedzenie wozu. Rosła tam pokaźna góra. Teraz uwierzyli mu na śmierć i życie. Hubek Drozd - odważny rolnik ze Świdra - postanowił nawet zostać wskrzeszony. Wyprzedził wołgę, rozpedził motor i lotem koszącym rzucił się pod własne koła. Pełen nadziei na zmartwychwstanie zginął na miejscu.

Iluzjoniście włosy podniosły się na głowie, a kierowca taksówki ledwie ominął ciało. Chciał zahamować, ale z tyłu rozległ się dziki odgłos klaksonów. Pod kosmicznymi kaskami kołatały teraz tylko dwie myśli: dogodzić magikowi i umrzeć. Każdego podniecała możliwość wycieczki w zaświaty i powrót. Rów i pobliskie słupy zapełniały się samobójcami, a przejeżdżający kierowcy nie nadawali już z udzielaniem pomocy. Najstraszliwsza jednak była śmierć młodego ogrodnika z Emowa - Feliksa Płetwała. Wprost z motoru wskoczył on na dach wołgi, zajrzał przez okno do środka, zaśmiał się histerycznie i zjechał na siedzeniu na przednią maskę wozu. Tam wyciągnął z kieszeni scyzoryk marki „Gerlach” i na oczach sinego z przerażenia iluzjonisty popełnił harakiri.

Tak prosty lud objawiał swoją radość z powodu przyjazdu znachora. W remizie wszystko było już przygotowane. Wypatrywano tylko bohatera całej imprezy. Tuż przy podejście, gdzie miał się zatrzymać samochód iluzjonisty, stała ogromna klatka na lisy, obok czaiło się paru pieczołowicie dobranych wiejskich osiłków. Derek siedział na wieży strażackiej i wypatrywał. Wreszcie wieża zadrżała i mrowie ludzkie usłyszało umówione hasło:

- Najlepsze kasztany są na placu Pigalle!
- Zuzanna lubi je tylko jesienią - zabrzmiało z tysięcy gardeł.

Czarna wołga zatrzymała się ostro koło podestu. Tłum czekał. Krew, która ściekała z opon i maski, poruszyła wyobraźnię zebranych i zwiększyła nadzieję. Wiedzano, że znachor obcujący na co dzień z krwią, nie tylko z ziołami, jest wybrańcem losu.

Derek oddał pospiesznie mocz i rozkazał porządkowym:

- Do klatki z nim!

Zaskoczony iluzjonista nie zdążył nic powiedzieć i po chwili niesiono go już do remizy. Nadrabiał jeszcze miną i rozdawał ukłony, ale na twarzy czuł już podmuchy znad Styksu. Klatkę umieszczono na scenie i Derek nachylił się do ustawionego mikrofonu. Był to ogromny kocioł praczki Płatkowej, który rezonował na kilka kilometrów.

- Ludzie, bądźta cicho! Znachor będzie leczył! - zawołał Derek.

Zrobiło się cicho. Iluzjonista wyszedł z klatki na scenę i szybko rozłożył sprzęt do występu. Widział rybie oczy wbite w jego walizki, a czasami dolatywał go szept: „O, ile lekarstw nawieźli”. Ludzie stłoczyli się w środku, ale miejsca starczyło zaledwie dla jednej setnej. Mimo mrozu nikt nie odchodził, czekali na swoją kolejkę.

Kiedy wykonał pierwszy numer, szmer zdziwienia przeleciał wokoło. Piłeczki do ping-ponga znikwały, to znów pojawiały się w różnych punktach sceny, ale oklasków nie było. Spróbował z zajęczkami - wyciągał je z cylindra i ustawiał obok siebie na podręcznym stoliku. Cisza. Coraz bardziej się denerwował. Czyżby coś źle zrobił? Niemożliwe. Wykonywał te sztuczki już w wielu krajach i zawsze z jednakim powodzeniem. Sięgnął po karty, ale jakiś głos z sali zawołał:

- E, panie znachor, świnię chcemy! Dla mnie jeszcze jałoweczkę!

Dołączyli inni. Każdy coś chciał dla siebie. Jedni motory, drudzy konie, a niektórzy od razu kombajn. Nie wiedział, co o tym myśleć, i czekał, aż się uspokoi. To jednak był dopiero początek. Musiał im wytłumaczyć, że wykonuje tylko realne triki. Zebrał się w sobie i krzyknął:

- Proszę państwa, ja nie jestem czarodziejem!

- Ożywiaj pan tych na drodze, bo zamarzną! Nie po to się zabijali, żeby teraz w ziemi gnić! - rozległ się od drzwi tubalny głos.

- Tak, ożywiaj! Ożywiaj! - podchwyciła sala.

Nie było już żartów, ludzie naprawdę w niego uwierzyli i czekali na cud. Rozumiał, że tłumaczenie na nic się nie zda, pogorszy tylko sprawę. Zdecydował się użyć podstępu.

- Dobra! Jedziemy z powrotem i po kolei ich ożywię! -wykrzesał z siebie resztki naturalności.

Tłum może by się zgodził, ale z kąta podniósł się Derek.

- Stańta! - huknął. - Teraz niech leczy. Tamtych ożywi się później. Ludzie, podchodźta po kolei!

Iluzjonista z przerażeniem stwierdził, że idzie ku niemu jakiś

starszy jegomość o kulach. Zatrzymał się przed nim i przymknął oczy. Czekał. Trwało to dobrą chwilę, wreszcie starzec nie wytrzymał.

- No, dotykaj mnie... Tak żebym chodził - ponaglił.

- Nie potrafię - wyrwało się iluzjoniście zduszone mruknięcie.

- W telewizji my widzieli... Co, miastowe mogą, a my nie? Do roboty, panie znachor! - nie ustępowali ludzie.

Magik położył zrezygnowanym gestem ręce na głowie kaleki i zacisnął powieki.

- Możesz chodzić! Możesz chodzić! Ruszaj! - wykrzyknął. Po tych słowach zabrał kule i pchnął pacjenta. Tamten zachwiał się, podniósł dumnie głowę i zamiast postawić krok, zwałił się u stóp iluzjonisty. Zapanowała grobowa cisza. Cudotwórca czekał na śmierć. Naraz usłyszał z nieludzkim spokojem wypowiedziane słowa:

- Trza mu pomóc. Dawajta kwiatki z okna! Niech potrenuje. Jak przebiją deski na stole korzeniami, znaczy, że znachor jest rozgrzany.

Ludzie poparli propozycję Derka Gudłaja i zaczęto znosić doniczki. Niestety, tym razem sztuka też się nie udała. Iluzjonista piszczał, śpiewał, chuchał, a nawet zjadł jedną lodygę z wysokopiennej palmy, ale rośliny się nie słuchały

-Trza inaczej! - znów rozległ się bas Derka. - Przy-niešta kry z rzeki.

Po godzinie klatka na lisy wypełniona była po brzegi lodem i ubitym śniegiem. Najinteligentniejsi kawalerowie we wsi wygrzebali tam spory otwór i jeden z nich kiwnął na znachora.

- Chodź, poleżysz tu ze dwa miesiące. Derek mówił -tu chłopak pokazał na brodatego bysiora, który teraz trzymał drzwi od klatki - że potem wróci twoja moc. No, dawaj, dawaj!...

I wepchnięto by pewnie iluzjonistę do klatki z lodem, gdyby nie interwencja z zewnątrz. Najpierw rozległy się krzyki, a potem do środka sali wtargnął duszący gaz. Po dwudziestu minutach wszyscy już spali.

Później Derek dowiedział się, że spadł na nich desant szóstej pomorskiej. Załatwili sprawę po wojskowemu - każdy jeszcze

podczas snu został odwieziony do domu i otrzymał na pamiątkę kostkę słodkiej, żołnierskiej kawy. Iluzjonista zaś z wdzięczności wstąpił do wojska i wziął się za ćwiczenie marszobiegów.

Pochowajcie mnie jak psa.
Chcę tego.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Derek otrzymał urzędowe pismo z Wojskowej Komendy Uzuppełnień. Wyznaczono mu datę stawienia się na komisję. Nie wzięto jednak pod uwagę jego militarnych zapałów. Po długich targach z ojcem rozgryźli z trudem administracyjną formułę wezwania i w tym samym momencie stwierdzili:

- Wojna. Trza się szykować.

Z miejsca zabrali się do przygotowań. Odkopali stare działo w ogrodzie, które niechybnie pamiętało jeszcze potop szwedzki, wtargali je na strych chałupy. Odczyścili i załadowali je prochem, a potem zajęli się lżejszą bronią. Ojciec wyciągnął spod progu „halabardę” i dwa zardzewiałe „szczyrbce” i wyostrzył je na szlifierce. Próba odbyła się w chlewie - stary rozplątał dorodną świnię niby przyłbicę krzyżacką pod Grunwaldem. Resztę arsenału stanowiły dwa bagnety poniemieckie, wysłużony nagan na łańcuszku i dubeltówka pozostała po pamiętnym polowaniu. Do tego dochodziła jeszcze gumowa pała znaleziona po jakiejś zabawie w remizie.

Pierwsze podniecenie i niepewność zniknęły, Z mundurami i ekwipunkiem nie było problemów. Ojciec miał swój własny z ostatniej wojny, Derkowi przypadł w spadku legionowy mundur dziadka Aleksego. Nawet ordery na nim wisiły, z czego młody Gudłaj bardzo się cieszył, bo nie lubił łaski. Jakby co, to on ma swoje.

Rozpoczęli też Gudłajowie regularne marsze wojskowe, przemierzając w pełnym rynsztunku cały powiat. W czasie tych przygotowań spotykało ich wiele niespodzianek i przyjemności. We wszystkich wsiach rzucano im się na szyję, częstowano obiadem i okrzykiwano bohaterami. Ludzie nie potrafili tylko umieścić ich w czasie - stawało zazwyczaj na tym, że są komandosami. Dużą rolę odgrywała tu miejscowa kawalerka, ta po wojsku, która wahała już proch i znała nowoczesne

uzbrojenie. Starzy za to pokazywali „halabardę” starego Gudłaja i wołali:

- Ten to prosto spod Waterloo! Wiwat napoleończycy!

Gudłajowie, słysząc ten okrzyk, najczęściej szybko się oddalali, aby nie przynieść armii nieszczęścia - wszak wiedzieli, że Napoleon do końca życia musiał siedzieć na wyspie; a oni obaj nie lubili wody.

Głośnym echem odbiła się po okolicy bitwa pod Gudłajami. Otóż któreś nocy obudził Derka warkot nieznaney maszyny. Nastawił uszu i czym prędzej poderwał ojca na nogi.

- Ojciec, jada - szepnął konspiracyjnie. - „Tygrysy”...

- Poznaję cholery. Trza ich zatrzymać. - Stary posłuchał chwilę i dodał: - Idziem.

Weszli po drabinie na strych i uchylili okienko. W nocnej mgle coraz wyraźniej rysowały się kontury czołgu. Powoli zbliżał się w ich stronę. Derek podciągnął działko do okienka i wziął namiar.

- Wal w nadbudówkę, tam gdzie dowódca - poinstruował ojciec.

- A w gąsienice nie można? „Rudy” strzelał w gąsienice - miał wątpliwości Derek.

- Kogo chcesz ubić, gąsienice czy człowieka, co? - zdenerwował się stary Gudłaj. - Na filmie to udawanie, a teraz jest wojna! Wróg w granicach.

Nie dyskutowali dłużej, bo tuż przed nimi wyrósł nagle wielki kształt czołgu. Ojciec odpalił lont, po czym obaj przyłgnęli do podłogi. Usłyszeli huk i w tej samej chwili stracili świadomość.

Jak się okazało, po wystrzale cały strych zawałił się wraz z nimi do izby. Leżeli parę godzin pod zwałiskiem, aż Gudłajowa - która cudem uszła z życiem - odkopała ich motyką. Opowiedziała im, jak zniemacka zaatakowali kombajn Bandziocha, którego przed śmiercią uchroniło jedynie błoto na drodze: przeleciał dwadzieścia metrów w powietrzu i wpadł prosto w kałużę przed domem stolarza Zbigniewa Oksiuty. Z kombajnu pozostały tylko rura na dachu i siedzenie kierowcy. Gudłajowa wspomniała też, że dobijali się do nich jacyś ludzie, ale udawała nieobecną. Dlatego tak późno ich odkopała - dla

bezpieczeństwa.

Nadszedł czas poboru. Ojciec przytulił wyekwipowanego syna do piersi i rzekł:

- Walcz dzielnie, idziesz do regularnej armii. Pamiętaj, że Gudłajowie zawsze szli w pierwszej linii. Nasz przodek, Broniek Gudłaj, był tak waleczny, że w ataku na wroga w Powstaniu Listopadowym wyprzedził swój oddział o trzy kilometry, musiał więc zawrócić i szarżować jeszcze raz. A twój dziadek w bitwie pod Kijowem tak napierał na wroga, że tamten o mało nie uznał go za swego. Ja zaś zasłużyłem się w ostatniej wojnie jako saper. Tak szczerlnie zaminowałem pola pod Lublinem, że nawet myszy wylatywały w powietrze... I pamiętaj, -że trza mieć oko na de-kowników. Od razu rychtuj działo i wal!

W końcu Derek opuścił wieś, a po godzinie dotarł do Otwocka. Musiał wyglądać groźnie, ponieważ ludzie przechodzili na jego widok na drugą stronę ulicy. Największe poruszenie wzbudzał jego miecz i działko wiezione w dziecinnym wózeku.

Bez kłopotów trafił do budynku WKU. Przeniósł wózek z działem przez próg i znalazł się w długim korytarzu. Na końcu stała spora grupa poborowych, którzy na jego widok skupili się ciałniej. Derek zbliżył się marszowym krokiem i krew odpłynęła mu z twarzy. On jeden był po wojskowemu, w mundurze; tamci stali w byle jakich gaciach i kurtkach, jakby wojna ich nie obchodziła. Proces rozumowania młodego Gudłaja skończył się równie szybko, jak się zaczął - wiedział, że ma przed sobą dekowników. Skierował więc wózek z działem w ich stronę, wyjął zapalnik i ryknął:

- O wy psiekwie! To tak się dekuje! Ja wam tu zaraz są wojenny wyprawie.

Zapłonęła zapalnik. Poborowi, widząc, że to nie przelewki, rzucili się do pokoju, w którym urzędowała komisja. Dopadli zdziwionych oficerów i wskazywali drzwi, z których wyłoniła się właśnie lufa działa i tuż za nią zarośnięty żołnierz legionów Piłsudskiego. Zapewne z otwockiego poboru zostałyby tylko drzazgi, gdyby nie wiekowy już major, który wstał z za stołu i własną pierśią zasłonił wylot lufy.

- No, strzelaj! Strzelaj do Polaka! - zawołał. Derek odrzucił

zapałkę i wyprężył się służbiście.

- Panie wojskowy, melduje się szeregowy Gudłaj -wyrecytował zasłyszaną od ojca formułkę.

- Czyście oszaleli, szeregowy? - zawołał major, czując się nieco pewniej, po czym przyjrzał się uważnie Derkowi i zapytał bardziej rzeczowo: - Skąd się tu wzięliście? I co to za mundur, uzbrojenie? Odpowiadać!

Derek popatrzył nieulekłym wzrokiem w oczy majora i porównał mundury. Zdecydowanie wołał swój własny -nie rozumiał, dlaczego tamten się go czepiał. Przybrał postawę zasadniczą i rzekł:

-Melduję się na wezwanie wojenne. Proszę o przydział do jednostki frontowej. A tych tutaj przygnałem na rozwałkę. To dekownicy!

Komisja zorientowała się, że Derek nie jest zwykłym poborowym, i zmieniła styl działania. Major nabrał powietrza i godnym krokiem zbliżył się do Derka.

- Wiem. Wykazaliście sprawność i odwagę - powiedział. - Zostaniecie przydzieleni do jednostki sanitarnej. Będziecie bronili szpitala. Wypisać mu adres docelowy jednostki - rozkazał jednemu z oficerów.

Tamten zrobił głupawą minę i niebacznie zapytał:

- Jak to, panie majorze?

Ale major zdecydował się być konsekwentny do końca. Kiwnął palcem na dwóch plutonowych stojących pod oknem i powiedział:

- Za niesubordynację zakuć w kajdany i zatrzymać w pokoju obok do dyspozycji sądu wojskowego.

Zanim zaskoczony oficer zdążył pomyśleć, co się stało, chywycono go za kark, nałożono kajdanki i wepchnięto do magazynu intendentury.

- Dekowników też! - dorzucił zimno major.

Ogłupiała zupełnie grupa poborowych znalazła się po chwili razem z unieszkodliwionym oficerem. Teraz major sam podszedł do stołu, wziął długopis i szybko wypisał coś na urzędowym blankiecie.

- Oto adres waszej jednostki - rzekł, wręczając mu pismo. -

Brońcie jej do ostatniej kropli krwi. Tam przejdziecie pod rozkazy kogo innego. Czołem!

Derek zachwycony sprawnością majora przypadł na jedno kolano do podłogi i ucałował go zamasyście w rękę. Major - który chyba też oglądał pewnego aktora w roli króla Jana - wziął się pod boki i wysapał natchnionym głosem:

- Podobasz mi się, kawalerze. Chętnie zabrałbym cię do siebie na służbę. Hej! - krzyknął nagle do komisyjnego lekarza. - Podać nam tu wina!

Późnym wieczorem Derek zostawił sponiewierane towarzystwo i ruszył pod wskazany adres. Dotarł tam po drugiej w nocy i zażądał widzenia się z dowódcą. Nikt go o nic nie pytał - został wpuszczony do środka, nakarmiony i postawiony przed starszym, siwym panem.

-Jestem doktor Grom - przedstawił się ten grzecznie. Derek opowiedział w skrócie wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin i bojowo zakończył:

- Teraz pójdę spać, a rano bedziem się przebijać. Czołem!

Potrafić się znaleźć
-to słodka cecha.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Rano jednak było zupełnie inaczej, niż Derek sobie wyobrażał. Obudził się nagusieńki pod prześcieradłem z czerwoną pieczętką. Na początku przestraszył się, że to krew, ale przyjrząwszy się jej dokładnie, odcyfrował zamazany napis: Państwowa Klinika Psychiatryczna w... - dalej nie mógł odczytać. Rozejrzał się ponuro wokoło - nigdzie nie dostrzegł klamki. Wróg okazał się szybszy, pokiwał głową zrezygowany. Hańba! Ojciec go do domu nie wpuści. Dał się zamknąć i rozbroić bez jednego wystrzału. Zaczął się przygotowywać na śmierć. Smutna indiańska pieśń zasłyszana kiedyś w westernie pomogła mu pogrążyć się w szlachetnej ekstazie.

Drzwi otworzyły się nagle i jakaś pokraczna postać wbiegła do środka. Był to odrażający karzeł o nieprzyzwoicie inteligentnej twarzy. Stał koło łóżka Derka i zaskomlał:

- Żołnierzu, od dziś będę się do was łąsił...

- Coś za jeden? - warknął Derek.

- Jestem profesor Izolata. - Potworek otarł się przymilnie o dłoń młodego Gudłaja.

- W podstawówce uczysz?

- Nie - wysapał karzeł i ściągnął koc z Derkowych nóg. - Ja leczę ludzkie dusze, oswajam i przykręcam im śrubę. Moje stosunki z pacjentami dobrze na mnie wpływają. Oni też odczuwają ulgę. Czy lubisz, gdy ktoś się do ciebie łąsi?

Derek zniecierpliwionym ruchem podetknął staruchowi pod nos swój potężny kciuk.

- Na, łąs się, ty Izolato, he, he...

Nie wiedział, że tymi słowami wywrze niezatarte piętno na światowej psychiatrii. Profesor Izolata zakodował je sobie w pamięci i opierając się na nich, już tydzień później udoskonalili swoje metody leczenia. Łaszenie się wokół kciuka każdego pacjenta uznał za najważniejszy element terapii. Prawie od razu profesor ujrzał w Derku asystenta. Przez pół roku Gudłaj

oddziaływał na niego swoimi koncepcjami medycznymi. Okres ten, jak sądzono w kołach wtajemniczonych, zostanie w przyszłości nazwany złotym wiekiem psychiatrii. Oczywiście formalnie Derek wystąpi tam jako pacjent, w tym przypadku role rozdzielają się same.

Z chorymi uporano się w klinice nadzwyczaj szybko. Podczas porannych obchodów profesor skinieniem głowy potwierdzał dyspozycje wydawane przez Derka jakby mimochodem i leczenie było ustalone. Zanotowano też trzy kuracje ekstra. Pierwszą przechodził były agent stacji benzynowej w Gdańsku, Josek Szmul. Cierpiał on na całkowitą amnezję. Przez dwanaście godzin na dobę puszczano mu z magnetofonu ludowe przyspiewki i bacznie obserwowano. Derek określił to jednoznacznie:

-Jak zapamięta, to znaczy, że zdrow. Podśłuchujta go tylko, czy se nie nuci.

Drugim, który został poddany nowatorskiej kuracji, był Wiesław Wychudły - były dyrektor zakładów mięsnych. Miał on obsesję tycia; zdawało mu się, że każdy gram jego ciała staje się coraz cięższy i rozrasta do niebywałych rozmiarów. Derek kazał pomalować go farbą lustrzanką, która odbijała obrazy i dawała wrażenie przezroczystości.

Od tamtej pory dyrektor Wychudły poczuł się znacznie lepiej. W jakiś czas później zaobserwowano, że kuracja ta ma także działanie uboczne w postaci narastania nowej obsesji: poczucia całkowitego nieistnienia, niewidzialności. Poza tym w środowisku lekarskim radowano się z pomysłu Derka, ponieważ dyrektor zyskał wielu przyjaciół wśród pacjentów, zintegrował w pewnym sensie klinikę. Po korytarzach wędrowała za nim spora grupka osób, które ze śmiechem przeglądają się w jego ciele. Dyrektor potwierdzał status specjalizacyjny kliniki, powodując powszechną wesołość, a - jak wiadomo - w szpitalu psychiatrycznym powinno być wesoło. Ogólnie też podkreślano praktyczne zalety „terapii” młodego Gudłaja, na przykład rano, kiedy wszyscy chorzy robili toaletę i przy goleniu mogli się posłużyć ciałem dyrektora jak najdoskonalszym kryształowym lustrem. Sam profesor Izolata

golił się tylko w ten sposób.

Najgłośniejszy był jednak przypadek psychicznego obojnactwa Bazylego Kłody, strażnika więziennego w R. Człowiek ten ąie potrafił sprecyzować, kim jest - mężczyzną czy kobietą. Miał z tego powodu poważne kłopoty z więźniami, którzy w określonych momentach zdradzali wobec niego nieprzyzwoite zamiary. Profesor i tutaj posłuchał rady Derka, zamykając Bazylego Kłodę ze sprzątaczką Walerią Wyciskalską w izolatce. Była to próba wyzwolenia płci przez tak zwany seksualny znój. Waleria Wyciskalska nadawała się do tego doskonale, ponieważ w jej żyłach płynęła w połowie chińska krew; nazwisko typowo polskie miało u niej charakter konformistyczny - nie chciała się wyróżniać w kraju, w którym mieszkała. Jak dowiedziono naukowo, niełatwo jest zagłuszyć genotyp rozrodczości i wspólny pobyt Bazylego z Walerią musiał uzdrowić tego pierwszego., Sprawa ta stała się dla niego być albo nie być. A Kłoda wolał być.

Pomysły medyczne - jak łatwo się domyślić - czerpał Derek z legend i podań ludowych, które zasłyszał w dzieciństwie od matki i ojca. Także ludzie pod sklepem w rodzinnej wsi od czasu do czasu powiedzieli coś ciekawego. Uwarunkowania historyczne ważyły więc teraz na leczeniu psychiatrycznym w klinice profesora Izolaty. Dużą rolę odegrały też porzekadła ludowe, którymi Derek wspomagał swoje diagnozy. Zaroiło się zatem w klinice od wałęsających się postaci całkowicie oplątanych sianem; wielu chorych uwierzyło, że uda im się w ten sposób wykręcić od choroby. Chłopi z okolicy dziwili się trochę rozrzutności kliniki, która wykupywała od nich prawie każdą porcję świeżego siana, ale uradzili, że to pewnie do sienników. Podobnie starano się nie przeszkadzać schizofrenikom przyuczonym do ślizgania się na mydle; biegali tacy po korytarzu i skakali na odpowiednio ustawioną kostkę mydła. Niektórzy z nadzieją krzyczeli:

- Niech żyje Zabłocki!

Oczywiście nie bardzo wiedzieli, o kogo chodzi, ale tak mieli napisane w karcie chorobowej, więc ściśle stosowali się do zaleceń profesora. Nie obyło się też bez paru wypadków - cóż

jednak znaczyła połamana miednica lub braki w uzębieniu wobec perspektywy zdrowia psychicznego?

Derek w tym czasie prawie nie wychodził z gabinetu profesora. Usilnie rozmyślał nad sposobami leczenia pokrzywdzonych rodaków. Prędko zrozumiał, że nie człowiek decyduje o swoim powołaniu, lecz jego bliźni. Właśnie w klinice utwierdzono go w tym przekonaniu, zapomniał więc o wojsku i czerpał satysfakcję z tak łatwego chleba. Konsultacji udzielał Derek zwykle zaraz po obchodzie. Cała ekipa lekarska siadała przed biurkiem profesora, które teraz okupował Gudłaj, i czekała na opinię rzeczoznawcy. Pytał głównie profesor.

- Pacjentka cierpi na depresję... - zaczynał opis kolejnego przypadku.

- E, Izolata - przerywał zazwyczaj Derek - gadaj po naszemu, bo księdza trza będzie wezwać, he, he...

- Chora nie ma siły żyć. Mówi, że chce umrzeć. Jest obojętna i nie wie, co się z nią dzieje - natychmiast zmieniał ton profesor.

Wtedy młody Gudłaj sięgał po książkę z przysłowiami ludowymi, przez chwilę ją studiował, po czym rzucał jakby przed siebie:

- Chorej baby chorszy umysł. Tutaj tylko Zawisza poradzi... Położyć babę na tym facecie spod czwórki, niech poleguje - kończył wywód Derek.

Tak działo się również z innymi przysłowiami, które medycznie zmodyfikowane nabierały wyższych walorów. Nie ingerowano w leksykalne operacje Derka, który dosyć często robił kombinacje w stylu: poleganie - polegiwanie. Chciano doczekać stypendystów z Ameryki i pochwalić się niekonwencjonalnymi metodami hospitalizacji.

Wielkie eksperymentowanie profesora Izolaty skończyło się nagle i bezboleśnie. Zawinił jak zwykle telewizor. Na żądanie Derka zakupiono go jako pomoc naukową, a kilka dni potem województwo warszawskie - ściślej: podwarszawskie wsie - ogarnęło istne szaleństwo.

Otóż pewnego wieczoru Derek wysłuchał dyskusji trzech doktorów medycyny, z których jeden był wybitnym społecznikiem i planistą. W trakcie rozmowy powiedział on

między innymi, że „medycyna powinna wychodzić do ludzi, a nie odwrotnie. Grzechem jest ukrywanie jej doniosłych odkryć przed społeczeństwem”. I zaczęło się!

Pięciu pacjentów kliniki zniknęło bez śladu. Zdawało się, że duch pomógł im w przeniknięciu krat i murów lecznicy. Nikt nie przypuszczał, że sam Derek Gudłaj wysłał ich z misją do ludu. Po krótkim i nieudanym śledztwie przymknięto oczy i o incydencie zapomniano.

Niedługo po tych wydarzeniach zanotowano w wiejskich przychodniach wyraźny spadek chorych; w tygodniu zjawiała się tam średnio jedna osoba. Mądry lud uwierzył wysłańcom Derka i zaczął czerpać zdrowie z przypowieści. Tylko księgarnie drżały każdego dnia na widok okazałych grup wieśniaków, którzy nagminnie wykupywali Przysłowia Oskara Kolberga. Szalała batalia o higienę psychiczną. Baby zaczęły poruszać się tylko piechotą w myśl przysłowia: Baba z wozu, koniom lżej - a firma przewozowa popadła w kłopoty finansowe. W szkołach podstawowych urwały się nagle wagary, młodzież przychodziła teraz w komplecie i głośno domagała się wiedzy; na tablicach w klasach powszechnie wypisywano hasło: Nauką zasila się dusze jak pokarmem ciało. Chłopskie dzieci przestały jeść i chłonęły wiadomości. Na marginesie można dodać, że miasto zachłystywało się dobrobytem.

Ta prywatna pogoń znacznej części społeczeństwa za zdrowiem miała także swoje nieprzewidziane skutki. Cóż bowiem robiono z przysłowiami typu: Dostał się oknem do nieba? Otóż setki zdewociałych dziadków i babek wdrapywało się na drzewa lub dachy stodół, wypatrywało odpowiednich okien sąsiadów i skakało ku nim „do nieba”. Co najdziwniejsze, nie martwiono się tymi niecodziennymi zgonami, ponieważ widziano w tym rękę opatrności - wszak było napisane gdzie indziej: Po stopniach do nieba, do piekła na łeb. Uznawano samobójców za strasznych, nieprzyjętych przez Pana grzeszników i chowano w niepoświęconej ziemi. Także adwokaci nie znajdowali już możliwości zarobku; chłopi wycofywali sprawy, godzili się i zadowoleni ryli sobie na progu domostw napis: Kto się prawuje, kieszeń pustą czuje. Żle się



działo miejskim letnikom, bo gdy zajeżdżali w tym czasie do wypróbowanego gospodarza, zastawali drzwi zamknięte, a nad nimi transparent: Prostota przyjaźni godna, dworstwo podejrzane. Dobrze było, jeżeli nie wyganiano ich ze wsi kamieniami. W tym też okresie skoczył wskaźnik kradzieży; przysłowie: Szuka, czego nie zgubił wyraźnie nakazywało operatywność.

Afera znalazła swój koniec dopiero w wyniku ingerencji jednego z sędziów powiatowych. Wysłał on pismo urzędowe do niejakiego Feliksa Barana i zamiast osoby zobaczył list podejrzanej treści: „Psyjeć se sum. Kulberga tsa słuchać, a un pise: Zawołany na kupie gnoju”. Wybrał się więc sędzia w towarzystwie jeszcze dwóch panów do zagrody Barana i zastał go leżącego na kupie gnoju. Ten na zadane pytania nie odpowiadał, tylko wołał:

- Chodźta tutaj, miastowe! Utyłajta się w gnojówce, to pogadamy!

Oczywiście sędzia powiatowy i jego towarzysze nie utyli się w gnojówce, a sprawa znalazła epilog w sądzie. Feliksa Barana zabrał specjalny oddział milicji, po czym wyładował on na zwykłej podłodze.

Po jakimś czasie w województwie zaczęły działać bojówki, które przeprowadzały rewizje w domach i rekwirowały Przysłowia Kolberga. Akcja została tak sprawnie przeprowadzona, że po paru tygodniach w wiejskich przychodniach znów pojawili się chorzy. Wszystko wracało do równowagi.

Dzięki otrzymanej potajemnie informacji Derek Gudłaj zdołał się ewakuować przed przybyciem do kliniki inspekcji. Pożegnał się wylewnie z personelem i pacjentami, pogłaskał profesora Izolatę po głowie i odszedł. W klinice błyskawicznie powrócono do legalnych metod leczenia, czyli chemii i młoteczka. Całą sprawę przypisano miejscowemu wywiadowi gminnemu, który wykradł tajemnice hospitalizacji i dyletancko próbował zaszcześcić je wśród ludu.

Trochę mnie poniosło,
przepraszam...
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Derek powrócił do rodzinnej wsi i znów uporczywie zaczął opatrywać się w telewizor. Nikt nie domyślał się nawet, że jego służba wojskowa miała tak niecodzienny przebieg. Od nowa zaczęto z niepokojem obserwować zagrodę Gudłajów i czekano na - co było już tradycją wsi -kolejne niebezpieczeństwa.

Miłe się jednak rozczarowano, gdyż młody Gudłaj całkowicie poświęcił swój czas usprawnianiu gospodarstwa. Przez ponad dziesięć lat w okolicy panował względny spokój. Tylko zagroda Gudłajów zmieniała się nie do poznania. Wypełniając zalecenia telewizyjnych rolników, Derek rozwinął swe zainteresowania inżynierskie do niespotykanych w świecie rozmiarowy. W miejscu dawnych zabudowań gospodarczych stała żelbetonowa budowla, do której nie prowadziły żadne drzwi. Pod murem ziemia się rozsuwała i to umożliwiało wchodzenie i wychodzenie. Także sprzęt zmechanizowany mieścił się w tym tunelu znakomicie.

Dom Gudłajów nazywano w okolicy twierdzą. Kiedy z Otwocka przybyli urzędnicy państwowi i oskarżyli Derka o brak pozwolenia na wybudowanie takiego gmachu, wówczas zaproszono ich na pole i pokazano podorywkę. Nie była to jednak zwyczajna podorywka. Na polu ukazały się trzy gąsienicowe traktory, które ciągnęły za sobą dziewięćdziesięcioskibowy pług. Prowadzący je Derek, ojciec i matka pędzili przed siebie jak szaleni i po kilku minutach trzy hektary były zaorane. Potem spod muru zagrody wyjechał ciągnik z pięcioma przyczepami i tuż za nim następny z doczepioną katapultą. Urządzenie to

- zrobione na wzór starożytny - miało wielkość dwóch kombajnów. Gudłajowie wykonali parę czynności przygotowawczych i zaczęli siew z katapulty. Wysypywali ziarno z przyczep na platformę urządzenia, naciągali korbką sprężyny wyrzutni i wzięwszy dokładny namiar odblokowywali

zaczepy. Pięć razy tak miotali ziarnem i zaorane uprzednio hektary zostały obsiane. Urzędnicy nie czekali dłużej - wsiedli do małego fiata i szybko odjechali. Podobno zgłosili się natychmiast do lekarza, podejrzewając delirium.

Wszystko u Gudłajów stało się monolityczne. Krowy miały u nich wielkość słoni afrykańskich, świnie nosorożców, a gęsi, kaczki i kury przypominały strusie australijskie; tylko wierny pies Burek, którego Derek znalazł w rowie i odchowwał, nie chciał rosnąć.

Prawdziwe szaleństwo zaczęło się jednak później, gdy płody zasiane przez Derka urosły. Na przeszło dziesięciu hektarach zamiast normalnego żyta i warzyw widniała prawie jurajska dżungla - kłosa dochodziły do czterdziestu metrów wysokości, a dynie, pomidory, kapusta i marchewki miały średnicę miejskiego pawilonu handlowego. Bocian, który przyleciał jak co roku osiedlić się na kominie Gudłajów, po prostu zemdłał z wrażenia. Matka musiała go cucić amoniakiem i przepraszać za niespodziankę.

Wszystko byłoby może w porządku, gdyby nie młode małżeństwa w powiecie, które zaczęły zjeżdżać do wioski ze swoim kredytowym dorobkiem i dłużyć sobie w dyniach mieszkania. Namiętnie wracano też do prehistorycznych obyczajów. Mężczyźni zapuszczali się z drewnianymi maczugami w tę knieję, chodzili odziani w skóry upolowanych myszy, a na głowach nosili skrzydła zestrzelonych z łuku ważek i motyli.

Wiadomość szybko doszła do województwa i wyżej, toteż jeden z ambasadorów krajów Trzeciego Świata przybył tu z wizytą. Oczywiście była ona niezapowiedziana. Wyrośnięty Murzyn podjechał do obrzeża falującego żyta, wyszedł z błyszczącego pontiaka i zapatrzył się na zielony gąszcz. Rychło też krew przodków zaczęła w nim grać, bo zrzucił z siebie paryski garnitur, kiwnął na kolegów we wnętrzu pojazdu i skoczył między grube pnie. Tamci wyjęli pastę do zębów, także pozbyli się ubrań i z zadowoleniem przystąpili do malowania się w barwy wojenne. Któryś z nich wrzucił zapalną do baku pontiaka i po kilku minutach samochodu nie było. Za to

„skansen” wzbogacił się o nowe organizmy. Już po dwu dniach rozległy się gdzieś w głębi dźwięki tam-tamów nawołujące do podjęcia zarzuconych przed wiekami obrzędów.

Derek był zachwycony rozwojem sytuacji, nie przeszkadzało mu, że nie zbierze corocznych plonów i nie wywiąże się z ustawowych kontraktacji. Obejrzał właśnie w telewizji serial o leśnym człowieku, Tarzanie, i przystąpił do akcji. Pożegnał rodziców, założył stare, przetarte slipy i zniknął w przydomowej dżungli.

Sprawa nabrała międzynarodowego rozgłosu. Ambasadury krajów Trzeciego Świata coraz bardziej pustoszały, niektóre nawet zamknięto. Wiele państw wystąpiło ze skargami do władz polskich i oskarżono Polaków - co było w modzie - o celowe usuwanie ludzi. Prasa zastanawiała się, dlaczego murzyńscy ambasadorowie mieliby być niewygodni dla polskich władz, ale nie znajdowano żadnej rozsądnej odpowiedzi. Skoro jednak dżungla była faktem - plemiona murzyńskie łączyły się lub prowadziły sporadyczne utarczki, biali osadnicy mieszkali w dyniowych osiedlach, a Tarzan był po nocach wśród lian i paproci - postanowiono zbadać sprawę na miejscu. Okazją do tego było też wystąpienie komun i organizacji murzyńskich w Stanach Zjednoczonych, które prosiły kompetentne polskie władze o azyl i możliwość osiedlenia się w Gudłajo-wej dżungli. Najbardziej naciskał Harlem.

Ponieważ teren należał do Gudłajów, władze przesyłały wszystkie noty na ich ręce. Wyraźnie dawano światu do zrozumienia, że własności prywatnej nie jest w stanie naruszyć żaden urząd. Stary Gudłaj nauczył się w tym czasie świetnie czytać, a niekiedy rozumiał nawet język angielski. Matka natomiast najlepiej się czuła, oglądając zdjęcia zabiedzonych murzyńskich rodzin, które przysięgały nie naruszyć równowagi biologicznej na ich hektarach, jak te deklarowały swoje wstąpienie do wskazanych im szczepów. Rodzina Gudłajów zaczęła więc borykać się z problemem murzyńskim. Wówczas to stary Gudłaj zwrócił się oficjalnie do władz o pomoc. Nie odmówiono mu.

Przyjechał do wsi antyrasista Mściwój Kunta Kinte, przedstawiciel MSZ, i zamknąwszy się w piwnicy ze starymi Gudłajami, rozpoczął naradę. Trwała ona prawie dwa tygodnie - dzień i noc.

- A co robi syn? - rozpoczął wnikliwie przybysz.

- Jest Tarzanem - odpowiedzieli zgodnie Gudłajowie.

- Ile ma lat ten Tarzan, co?

- Teraz idzie mu trzydziesty piąty.

- A Murzynów lubi? - nalegał tamten. Starzy popatrzyli na siebie i ostrożnie odrzekli:

- Pewnie lubi, skoro tylu ich tam ma. Ale Derek jest normalny i wcale ich nie wykorzystuje. Ot, szczepy chło-paczyna zakłada...

Antyrasiście Kunta Kinte nie bardzo podobało się spojrzenie rodziców Tarzana, bo warknął:

- Mówicie, że szczepy zakłada. A pozwolenie ma?

- Panie, toż tam strach wejść - zaoponował stary Gudłaj. - Tam teraz tylko w bębny walą i tańczą.

- A syn tańczy?

- Jakże to? Tarzan po drzewach skakał, a nie tańczył - wyjaśnił ojciec. - On jak małpa żyje. Matka mu co miesiąc podkłada ślipy na próg. My go już prawie rok nie widzieli.

Rozmawiając w ten sposób, niewiele zdołali ustalić. W końcu oddali decyzję w ręce Kunta Kinte i z westchnieniem go pożegnali. Działacz ten nie zwlekał długo. Przeczytał w „Kobiecie i Życiu”, że niejaki Frank Coppola z Hollywood będzie kręcił film wojenny w dżungli i poszukuje odpowiedniego terenu. Zadzwoił więc do reżysera i za okrągłą sumkę pozwolił tamtemu zrealizować niezwykle przedsięwzięcie.

Pewnego wieczoru nad wsią pojawiły się trzy eskadry promów kosmicznych „Columbia”, które ustawiły się bezpośrednio nad dżunglą Derka i zaczęły wysuwać z kadłubów rozłożyste łopaty. Wbiły się one lekko w ziemię i po chwili dziesięć hektarów prawie jurajskiej przyrody leciało już do Ameryki Łacińskiej. Od tamtej pory pole Gudłajów położone było w depresji.

Derek uratował się tylko przypadkiem - akurat tego wieczoru przyszedł odebrać nowe slipy. Widział wyraźnie, co się stało. Przysiągł sobie, że był to jego ostatni wyczyn inżynierski na tak wysokim poziomie. Postanowił też zniszczyć swój dorobek w gospodarstwie i powrócić do dawnych zwyczajów. Po trzech miesiącach nie było już śladu twierdzy, a w słońcu prażyła się staropolska rudera, swojska i przyjazna okolice.

Gudłajowie nigdy nie żalowali tego powrotu do źródeł, a gdy po paru latach wyświetlono w remizie film Czas Apokalipsy i zobaczyli, co Coppola zrobił z tamtą dżunglą, utwierdzili się w tym ostatecznie.

- Bydlę i bezbożnik - oceniła matka, a Derek tylko charknął przez ramię i poszedł po staremu wyszczać się na drogę.

Moje nienaprawione błędy umacniają
morale mojego lokatora.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Po niedługim czasie echa tamtej sprawy raz jeszcze wróciły do Gudłajów. Jakiś zbłąkany archeolog odgrzebał za ich chałupą zakopane przez Derka kości monsturalnych kur, świń i krów. A ponieważ epokowe odkrycia zdarzają się rzadko, prawie oszalał z radości; wezwał na pomoc kolegów archeologów i wspólnie zaczęli budować lotnię. Postępowano zgodnie z prawidłami fotografii kosmicznej, która według książek naukowych pozwalała lepiej poznać badany obiekt. Tak tam było napisane i nawet zdjęcia dołączyli; na przykład rozsypującego się kamiennego słupa, wokół którego czaili się jacyś faceci i wymyślali mu pochodzenie.

Wreszcie lotnia była gotowa. Szczęśliwy archeolog, zwany przez kolegów - co dzieciaki ze wsi podsłuchały - Gnatem, wtargał cały sprzęt na najwyższe drzewo w okolicy, skrzył co trzeba, potem pokazał zgromadzonym na dole ludziom piączę ze sterującym kciukiem (podpatrzył lotników angielskich na filmach) i rzucił się w przestrzeń. Lotnia zrazu fiknęła koziółka, a później zaczęła ostro pikować ku ziemi. Dzielnego archeologa uratował przed śmiercią nagły podmuch wiatru, który skutecznie poderwał ogromne skrzydła do góry. Archeolog Gnat natychmiast przysposobił aparat fotograficzny do pracy i skierował lotnię w odpowiednią stronę. Z robieniem zdjęć nie miał żadnych kłopotów, gdyż dysponował cudownie uproszczonym aparatem marki „Druh”, który otrzymał od ciotki na pierwszą komunię.

Zataczał więc nad depresją Gudłajów szerokie kręgi, a kiedy wypełnił już całą kliszę, beztrósko odpiął się od lotni i runął w dół. Miał szczęście, że wpadł prosto' w kompost sąsiada Gudłajów, Zbigniewa Oksiuty. Tak się zarył, że musiano go wyciągać koźmi, bo traktor nie mógł dojechać.

Za to samotnie lecąca lotnia narobiła niezłego zamieszania. Szybko wzięły na nią namiar wojskowe radary i rozpoczęła się

potajemna obserwacja. Były trzy hipotezy - albo jest to szpieg amerykański, albo w drążkach lotni ukrywa się niezwykle chudy emigrant, który ucieka do Berlina Zachodniego, wreszcie dopuszczano możliwość rekonesansowego przelotu gości z kosmosu. Niezależnie od wszystkiego teren był państwowy i należało się wylegitymować. Zdecydowaną postawę zajęto dopiero w pobliżu granicy. Wystartowały stamtąd cztery myśliwce typu „Mig-27” i po rozmaitych rozkazach, ostrzeżeniach i kuszeniach zaatakowały milczący obiekt. Lotnia wpadła do Odry i nigdy stamtąd nie wypłynęła. Następnego dnia prasa i radio podały, że Polsce nic już nie zagraża.

W tym czasie grupa pracowitych archeologów badała wykonane zdjęcia. Kiedy już interpretacji materiału fotograficznego nazbierało się zbyt dużo, zdecydowano się po prostu kopać.

Ludzie we wsi nie bardzo wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, więc nie odzywali się i niecierpliwie oczekiwali rozwiązania całej zagadki. Oczywiście wiedziano dobrze, że Derek zakopał tam swój przerośnięty inwentarz zwierzęcy, ale nikt nie myślał, że można tak długo fotografować i naradzać się przed odgrzebaniem kości kilku prosiaków i krów. Łudzono się więc powszechnie, że to tylko pretekst, a w rzeczywistości powstaje tam studnia głębinowa. Los jednak lubi płatać figle. Archeolodzy odkopali wreszcie wszystkie kości, przekazali wiadomość do Warszawy i pod wieczór zajechały na miejsce wykopalisk dwa olbrzymie kontenery. Tuż przed odjazdem ociekający potem jeden z badaczy stanął na stopniach wozu i krzyknął:

- Dzięki temu odkryciu wasza wieś będzie na ustach całego świata!

- Paszół won, ty grabarzu! - ryknął mu w odpowiedzi ktoś ze zgromadzonych mieszkańców wsi.

- A gdzie studnia? - zawtórował mu inny głos. Archeolog już tego jednak nie słyszał - kontenery mknęły na pełnym gazie do Pałacu Kultury w Warszawie. Tam oczekiwał na nie międzynarodowy areopag naukowy, który zjechał wprost spod ziemi, by ocenić odkrycie swojego młodego kolegi. Musiano

poza tym zrekonstruować zwierzęta i wystawić je na widok publiczny.

Migawka w dzienniku nie usatysfakcjonowała Derka. Podobnie ludzie we wsi nie uznali jej za prawdziwą. Pokazane zwierzęta były jakimiś makabrycznymi potworami, które rzekomo miały zamieszkiwać ziemię przed tysiącami lat. Nikt z doświadczonych chłopów nie potrafił rozpoznać w nich konturów wieprza, kury czy krowy. Wszystko to przypominało raczej kłamliwą kampanię przeciwko wyobrażeniom prostego ludu, więc sołtys zwołał zebranie, na którym wyrysowano dokładnie kształty zabitych przez Derka zwierząt i z podpisami świadków przesłano do Warszawy. Niczego to oczywiście nie zmieniło - nauka oceniła już odkrycie i nikt nie mógł tego podważyć.

Misiu, wystaw łeb z za tego brudnego
parawanu. No i jak?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Nadszedł dzień czterdziestych urodzin Derka. Matka upiekła na blasze placek, a ojciec wypatroszył indora. Ptak zaplątał się przez nieuwagę na podwórzu Gudłajów i zanim zdążył zagulgotać, leżał już na stole i pachniał tłustym sosem. Derek od rana wietrzył coś niedobrego w powietrzu. Do tej pory starzy nawet nie wspominali o urodzinach, a tu nagle taki bankiet na jego cześć.

Po oporządzeniu dobytku Derek jak zwykle skierował się do izby. Nacisnął klamkę, ale drzwi nie puszczały. Napał na nie barkiem i usłyszał z drugiej strony groźny pomruk:

- Idź do obory. My jeszcze nie skończyli. Gwizdnę na ciebie. Młody, a właściwie już w średnim wieku Gudłaj nie rozumiał zupełnie, co się dzieje. Przestał cisnąć drzwi i przytknął oko do dziurki od klucza. Nie zdążył nic zobaczyć, bo powieka drgnęła mu pod naporem czegoś mokrego. Odskoczył do tyłu i wrzasnął:

- Ojciec, co to było?

- Gdzie? - zarechotał stary z za drzwi.

- A tu, w dziurze!

- Ale pójdziesz do obory? - nie ustępował ojciec.

- Pójdę - niechętnie zgodził się syn.

- Szczynty! - wrzasnął stary, krztusząc się ze śmiechu. Derek przetaił oko paluchem i posmakował. Splunął na próg i bez słowa ruszył na podwórze. Nagle doznał olśnienia. Przypomniał sobie, jak w jakimś wojennym filmie niejaki Stirlitz obchodził podobną rocznicę. Tak mu się przynajmniej wydawało. Tamten najpierw pisał coś na kartce, później włączył radio i tego przepijał wódą. Na końcu, kiedy się już uwalil - rozumował Derek - zaczynał wszystko palić w popielniczce. Stały mu przed oczami spłodzone potajemnie wiersze, które ukrył za piecem. Rzucił się z powrotem.

- Otwierajta, zdrajcy! - załomotał w drzwi, które uchyliły się

natychmiast.

- Witamy cię chlebem i solą... - zaczęli uroczyście rodzice.

-A więc nie spaliliście wszystkiego? - przerwał im niecierpliwie.

- Całuj chleb, ty baranie! - huknął na niego ojciec.

Po tym staropolskim przywitaniu starzy wprowadzili go do izby. Do dwunastej panowało przy stole milczenie. Jedli i obserwowali się przekrwionymi ślepiami. Wreszcie ojciec przerwał jedzenie, łypnął znacząco na matkę i odezwał się grobowym głosem:

- Kochany synu!

- O Jezu, ojciec zachorzał! - zawołał Derek i złapał się za głowę.

Matka jednak pokręciła przecząco kokiem i tym go uspokoiła. Skulił się na krześle i czekał. Ojciec wytarł tłuste wargi w rękaw marynarki i ciągnął:

- Dziś kończysz czterdzieści lat. Pora, żebyś se dziewczuchę znalazł. My tu z matką przygotowali spis, to wybierać będzie z czego.

Derek poderwał się z krzesła, przechylił ku staremu przez stół i zawołał:

- Ojciec, chcesz ty, żebym ci wsadził w dupę trzonek od łopaty? A może ci heblem ogolić, co?

W tym momencie jednak Gudłaj zrobił potwornego zeza i chłopak nie wiedział, którym okiem na niego patrzy. Spojrzy na prawe, to lewego nie widzi, spojrzy na lewe, to prawe gdzieś ucieka. Od tej strony Derek nie znał jeszcze swojego rodziciela. Matka też przyglądała się temu zjawisku z zainteresowaniem.

- Wstań! - odezwał się wreszcie stary.

Gudłajowa i Derek podnieśli się jak na komendę - ona z posłuszeństwa, on z ciekawości.

- Nie ty, ty! - powiedział ojciec, wskazując palcem syna.

- Ojciec, co ty masz za aparat w głowie, że ci tak gały latają? - Derek aż się trząsł z ochoty do zbadania całej sprawy.

- Nie gadaj, bo ci nic nie powiem - skarcił go stary Gudłaj, po czym wyjął z kieszeni zwinięty w rulon szes-nastokartkowy zeszyt w kratkę, rozłożył go przed sobą i mówił dalej: - Synu,

trza nam iść z duchem czasu. Miastowe wybierają se babki i mogą się z nimi żenić, a my mamy być gorsze? Podpatrzyli my z matką w telewizorze, jak oni to robią, i zadziałali tu u nas. Będiesz miał wybór miastowy, jak panisko jakieś.

- Matka, co ojciec gada? - wtrącił się coraz bardziej zniecierpliwiony Derek.

Nie odpowiedziała mu, tylko kiwnęła głową, że wszystko jest w porządku. Derek nie uspokoił się jednak całkowicie, jego ręka zacisnęła się cichcem na podkowie w kieszeni. Na razie postanowił słuchać starego, a i zezem się nacieszyć.

- Widziałeś te chude dziewczuchy w okienku? - prawil dalej ojciec, zatrzymując na chwilę oczy na telewizorze.

- Latają se takie po długim dywanie, przeginają, tyłki pokazują, a chłopcy patrzą i wybierają. Każda chwali się ubraniami, bo chce bogactwo, posag pokazać... A na końcu idą wszystkie do restauracji z ubawem i czekają na tamtych. Oni mówią na to moda, ale tak teraz trza synu, bo kościół wyklnie.

Derkowi spodobało się gadanie ojca i nawet ręce na stole położył. Sięgnął po popularnego, zmiękczył go w grubych paluchach i zapalił. Było mu błogo i swojsko.

- Dawaj, matka, po kolei! - doleciał go nagle okrzyk ojca. Podniósł powieki i ze zdumienia włosy zaczęły mu kielkować na łysej czaszce, bo zza telewizora wylazła jakaś krzepka dziewczucha i zaczęła się wyginać. Miała na sobie nylonową mini w różowe kwiaty, z wielkim dekoltem, tak że cycki prawie jej wylatywały na podłogę.

- To dla mnie? - zapalił się Derek.

- Cicho. Modę trza najpierw oglądać, a potem wybierać - pouczył ojciec, po czym pstryknął palcami i z kąta rozległo się bębnienie, a zaraz po nim dołączyła harmonia. Grano: Hej, w kieleckich lasach. Ale to nie było wszystko. Stary Gudłaj włączył się i zawył głosem prezentera: - To elegancka Sabina Kanonierka! Czterokrotna wdowa. Dzieci nie ma, ale chce mieć. Siedem hektarów w jednym kawałku koło Rzakty. Ciągnik i kolorowy telewizor...

- Kolorowy!!! - zapał Derek. Tego się nie spodziewał. Matka ułatwiała mu obserwację, podświetlając dziewczuchę lampką. Co

parę sekund gasiła ją i znów zapalała - jak w filmie o duchach. Tymczasem tamta odwróciła się tyłem i wykonała skłon.

- Aaaaaa! - zawył Derek, a stół niebezpiecznie uniósł się do góry. - Ona nie ma gaci! - kwiknął po chwili.

Gudłajowie spojrzeli uważniej, a matka ryknęła:

- Ty ścierwo! Z gołą dupą do Derka? Toż jak ty byś do obory, do obrządku, chodziła? Nawet miastowe nie są takie grzeszniki. Zabieraj się stąd!

Przerażona dziewczyna wskoczyła na parapet, kopnęła w okno i z łomotem wypadła na zewnątrz. Rozeźlona popędziła do Rzakty. Ucieczka ta nie skończyła się niewinnie - wierny pies Burek zniknął bez śladu, co stwierdzono następnego dnia. Matka miała rację, że ze wstydem na wierzchu trzeba się trzymać z daleka od zwierząt. One nawet w nocy dobrze widzą. Dalszy ciąg znudził Derka. Wszystkie mody były za bardzo zwykłe, a on wolał coś ekstra. Marzyła mu się miastowa panna. Bęben dudnił, harmonia grała, matka robiła dyskotekowe światła lampką, a ojciec prezentował. Wychodziły jakieś wyleniałe dziewczki, pokazywały, co umieją, ale Derek wzdragał się tylko i spoglądał na stół, który nawet nie drgnął. Impreza skończyła się nad ranem i Gudłajowie uwalili się spać.

Dzięki absolutnej wolności jednostki
czuję się absolutnie.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Z depresji, która ogarnęła ich na kilka dni, wyrwał Derka telewizor. Całował on z wdzięczności zimny ekran, głąskał wymizerowanego redaktora Strupka i wsłuchiwał się w ogłoszenia. Organizowano międzynarodowy konkurs kulturystyczny. Pokazano też migawki z rozmaitych klubów i zachęcano wszystkich mężczyzn do wzięcia udziału. Derek był niezłym bysiorem, palił się do zawodów, ale jak zwykle chciał odnieść bezkonkurencyjne zwycięstwo. Pożyczył jakąś książkę z Biblioteki Gminnej w Wiązownie i pograżył się w studiach. Najbardziej zafrapowały go oczywiście odżywki kulturystyczne, tak zwane proteiny. Nie rozumiał ich działania, ale wniosek był prosty - po odpowiednim treningu bary pęczniały. Gonił go jednak czas. Do konkursu pozostał tylko tydzień. Postanowił wymyślić coś innego.

Rano - kiedy na Placu Defilad w Warszawie gromadzili się pierwsi goście - w zagrodzie Gudłajów panował ożywiony ruch. Ojciec rozgrzewał od kilku minut gazelę i podkręcał gaz. Matka po raz trzeci doiła tę samą krowę, a Derek kąpał się w studni. Wyskoczył wreszcie na trawę, wciągnął sportowe gacie - trzymał je od trzydziestu lat w szafie na specjalną okazję. Były to jego spodenki jeszcze ze szkoły, w których brylował na wszystkich wuefach.

- Ojciec, gotowi jesteście? - zapytał Derek, zatrzymując się przed małą komórką koło stodoły.

- Gotowy - padła odpowiedź i zawył mocniej silnik motoru. Derek nałożył na głowę siatkę pszczelarską, pochylił się do przodu i wskoczył do komórki. Po chwili rozległo się stamtąd przeraźliwe rżenie i na zewnątrz wypadł jakiś niehumanoidalny stwór. Był to Derek, który zastosował kurację kulturystyczną na niespotykaną skalę: wpadłszy do komórki, rozwalił wiszące pod łachem gniazdo szerszeni i bohatercko napiął mięśnie. Ponad dwieście owadów spadło na niego z wyciągniętymi żądłami i

wstępnie spulchniło mu odsłonięte ciało. Jego nerwy były spokojne tylko dlatego, że nigdy nie czytał gazet. Parę razy podawali tam informację dla turystów, która między innymi mówiła, że trzy ukąszenia szerszenia mogą spowodować śmierć.

Dwumetrowe bary Derka stały się nienaturalnie duże. Jedynie głowa i ukryte pod spodenkami „intymnia” zachowały dawne rozmiary, reszta wylewała się dosłownie na zewnątrz. Kiedy wskoczył na tylne siedzenie gazeli, ugięły się fabryczne resory, a ojciec musiał się przesunąć prawie na bak. Wyrwali z miejsca, aby nabrzmiące mięśnie nie opadły przed konkursem.

Przybyli w odpowiednim momencie. Sędziowie konkursu zobaczyli go, gdy stał na tylnym siedzeniu jadącej gazeli i naprężał poszczególne partie mięśni; słychać było wyraźnie chłupot przelewających się zwojów. Zeskoczyła z motoru tuż przed sędziowskim stołem, a jego obręcz barkowa zatoczyła niebezpieczny łuk. Rozluźniony mięsień piersiowy pacnął w brzuch najbliższej stojącego arbitra, który przewracając się, trafił zębami w sztangę. Nikt jednak nie udzielał mu pierwszej pomocy - wszyscy patrzyli na Derka. Jego ruchy były wyraźnie nieskoordynowane, zatrute - czego nie wiedziano - jadem szerszeni. Napinany mięsień uda nie zatrzymał się na swoim miejscu, lecz powędrował aż na szyję; tam stanął i stwardniał. Prawy biceps zatrzymał się na języku, a lewy pod okiem. Łydki całkiem zniknęły, tylko pośladki jakby napuchły.

Kaptury i tricepsy poszły Derkowi w pięty. Przewodniczący komisji tak szczekał zębami, że mu po kolei wypadaly. Pozostali sędziowie próbowali napiąć swoje mięśnie - myśląc, że to odstraszy może upiornego zawodnika - ale fizjologiczny chaos im także się udzielił. Mięśnie zastępcy prezesa kulturystycznego klubu „Bydlak” przeskoczyły na plecy siedzącej obok niego żony, która zrobiła się nagle dwa razy większa. Kark ubiegłorocznego zwycięzcy konkursu, niejakiego Helmuta Brun-nera, wbił się po prostu w czoło jakiegoś kibica i zniekształcił tamtemu głowę. Gorzej jeszcze było z mięśniami innych członków jury - wszystkie przeskakiwały na Derka. Pęczniał on w straszliwy sposób i przypominał coraz bardziej

oskubanego z sierści niedźwiedzia grizzly. W pewnej chwili pochylił się nad sędziowskimi papierami i zarechotał:

- No, kto wygrał?

- Bracia, rodacy, co to jest? - zakrzyknął przewodniczący z pozieleniałą twarzą.

Tłum podchwycił pytanie i rozpoczął się teleturniej, bo reporterzy telewizyjni byli obecni. Jeden z nich, specjalista od gier i skojarzeń, wlaź na podium i tupnął. Uciszyło się trochę. Wziął megafon do ręki i zawołał donośnym głosem:

- Daję sto bonów i kartkę na życie, że to jest yeti!

- A gówno! - odpowiedział ktoś w tłumie. - To jest mutant z amerykańskiego laboratorium!

- Z amerykańskiego?! Z radzieckiego! Tylko oni mają taką technikę! - piszczala prawie stuletnia babcia.

- Uwaga! - krzyczał reporter. - Tu stawiamy dwie skrzynie. Proszę wrzucać swoje propozycje. Podliczymy głosy, wylosujemy zwycięzcę i wyślemy go razem z tym... okaże się z kim, czarterem do Chin!

- Ja go kupię! - wrzasnął nagle handlarz owiec z Bieszczad. .

- Stawiam mój przydział masła, że to jest Żyd, któremu agresja wylazła na wierzch! - huczał basem ktoś z tyłu.

- Odesłać go do Izraela, na Wzgórza Golan!

- Wysłać go z Badowskim i Halikiem na wyspę! Niech się badają! - wołał cywilizowany Indianin z Peru.

- Sprzedać go do Japonii! Albo niech walczy z ich Go-dzillą! - padały rewelacyjne pomysły.

- Do kloaki z nim! - denerwował się przewodniczący : jury z udem na szyi.

- Dać go Felliniemu do filmu! - domagali się intelektualści.

- Niech rozstrzygnie prawo! - próbował uspokajać inny głos, ale prawnicy już dawno wycofali się z gry i zniknęli wśród okolicznych domów; wiedzieli, że w końcu na nich spadnie obowiązek zażegnania sporu, i woleli się usunąć. Sprawa nie była zresztą czysta.

Zaczęły się drobne utarczki między uczestnikami teleturnieju. Najpierw sobie wymyślali, później doszło do rękoczynów, aby wreszcie rozegrać na oczach wyglądających spod płyt

chodnikowych krasnoludków prawdziwą bitwę. Owe krasnoludki to nikt inny, tylko niepowołane oczy, które zwykły śledzić przebieg zdarzeń, a w razie czego interweniować.

Skutki tej bitwy były fatalne - nie rozdano dyplomów. Ludzie walczyli o swoje prawdy, a sędziowskie akcesoria leżały bez opieki. Nawet nie zauważono, że Derek, o którego rozgorzała kłótnia, uległ w tym czasie transformacji. Jad przestał działać i młody Gudłaj zaczął się raptownie j zapadać; dlatego nikt go nie widział. Ojciec obserwował syna i czuwał nad całością. Sięgnął w zamieszaniu na stół i przywłaszczył sobie wszystkie dyplomowe formularze.

Nie zapomniał też o pieczęciach. Później wyczekał na odpowiedni moment i ukrył skarłałego zupełnie syna pod marynarką. Zadowolony z siebie dosiadł gazeli i ruszył z powrotem do domu. Los chciał, że zabrakło im w Starej Miłośnie benzyny. Podjechali pod stację, a stary szepnął do siedzącego w kieszeni syna:

- Nie wyglądaj teraz. Tyś niezwykajny, bo karzeł...

- Dobra - głos Derka nie zmienił się mimo miniaturyzacji jego osoby.

Ojciec postawił motor na podnóżku i przywołał ajenta:

- Panie, trza nam benzyny!

Ajent rozejrzał się uważnie, ale nikogo oprócz starego Gudłaja nie zobaczył.

- Pił pan? - zapytał od niechcienia.

- Nie, dlaczego? - zdziwił się ojciec.

- Bo mówisz pan, że mam nalewać wam. Ja tu widzę jednego.

A pan kogo widzisz? - wymądrzał się agent, napełniając bak. - Pięćset trzydzieści złotych - powiedział na zakończenie.

Gudłaj sięgnął do kieszeni, ale nie mógł namacać portfela. Przypomniał sobie nagle, że zostawił go w starym ubraniu. W głowie zabuzowały mu szalone myśli: przegryźć benzyniarzowi gardło i wiać! włożyć wąż do nochała, odkręcić kurek, na motor i gazu! Ale nagle wpadł na genialny pomysł. Uśmiechnął się przymilnie do ajenta i rozpoczął tonem przerwanej rozmowy:

- Wie pan, że ja mam już czterdziestoletniego syna?

- Najpierw pan zapłać, a potem pogadamy - nie dał się zwieść

agent.

- Co mam nie zapłacić... Panie, żebyś pan widział Derka - rozmarzył się stary.

- Jakiego znowu Derka? - zachnął się tamten.

- Chciałbyś go pan poznać? - popłynęło łagodne pytanie.

- Nooo, chciałbym, do diabła, ale...

- Przysięgnij się pan, że chciałbyś - przerwał Gudłaj.

- Przysięgam się! Przysięgam się! - wył agent z rękami uniesionymi ku niebu.

- Powiedz pan, że chcesz go poznać. - Wydawało się, iż wiekowy klient dostał ataku sklerozy.

- Chcę go poznać - zgrzytnął zębami agent.

- No to go poznaj, gnojku! - Okrzyk i gęba starego zwały się agentowi w jedną całość, po czym jego oczom ukazał się malutki człowieczek, który złapał go za nos i warknął:

- Derek jestem, syn Bazylego Gudłaja.

- Chryste Panie! - zawołał prawie nieprzytomny ze strachu pracownik stacji benzynowej w Starej Miłośnie, uciekając do pobliskiego zagajnika.

Porzucił torbę z pieniędzmi, miotał się raz w prawo, raz w lewo i charczał:

- Przysięgam, że już nigdy nie będę trzeźwy... przysięgam, że już...

Gudłajowie szybko wskoczyli na swoje miejsca - syn do kieszeni, a ojciec na motor - i po chwili gnali już setką do siebie. Derek położył się na dnie kieszeni i spał, a ojciec myślał o dyplomach.

Nie chcieć zrozumieć to z pewnością
śmiertelny grzech. Tak, z pewnością...
Lisek Chytrusek (wiek XX)

W rodzinnej wsi przeżyli jeszcze jedną przygodę, ponieważ Derek zaczął wracać do normalnego wzrostu. Jechali spokojnie koło sklepu, kiedy spod marynarki ojca wystrzeliła nagle pokaźna noga, zaraz też pojawiły się ręce, głowa i wreszcie cały młody Gudłaj siedzący okrakiem na baku. Chałupniczka Łozinowa wypatrzyła to z okna sklepu i wrzasnęła:

- O Boże! Bazyli urodził na motorze Derka! Sama widziałam, jak się powiększał... Ludzie, to cud!

- Jaki tam cud, Łozinowa - drwił jakiś głos. - Widziałam przecież, że siedział na starym okrakiem. Ot, figlują...

- Nie gadajcie byle czego, bo was na języki wezmą -doradzały inne kумы.

- Ale na własne oczy widziałam! Przecie ślepa nie jestem. No, Marychna, powiedz, kto pierwszy widzi zawsze listonosza? - zaklinała się Łozinowa.

- Nie wygłupiajcie się, Łozinowa. Przewidziało wam się i kwita. Gdzie to na motorze rodzić takiego konia! I to ojciec! Wstydzcie się - zrzędziła sklepowa Alicja Beza.

Łozinowa zdenerwowała się nie na żarty. Odrzuciła torbę, dopadła sklepową, zawinęła w garście kieckę i wykaszła:

-Ja wam pokażę, jak to było. Stójcie, Beza, spokojnie, to nic nie będzie. Sztywno kark!

Łozinowa zemściła się na wszystkich za swoją plotkarską dumę. Niech zobaczą, że nie kłamie! Wlazła na brzuch sklepowej, podwinęła jej bluzkę i zaczęła pchać się pod pachę. Tamta chciała uciec na zaplecze, ale Łozinowa przerzuciła jej właśnie grubą łydę z żyłakami przez ramię, a halka omotała całą scenerię tajemnicą.

-Ty stara kwoko, podnoś łapę! - syczała Łozinowa. Wreszcie ludzie zobaczyli, że znika pod pachą. Wokół rozległ się suchy trzask. To puściły pasy do przytrzymywania pończoch. Stały więc wszystkie baby ze wsi i okolic z pończoszonymi

obwarzankami na kostkach, patrzyły zdumione na sklepową i mamrotały pacierze.

- No i co? Nie chciałyście wierzyć, to Bóg was ukarał, wy durne. Derek też tak siedział u starego. I na motorze jechali - dogadywała gdzieś spod pachy Łozinowa.

- Łozinowa - zaczęła przymilnie pomoc aptekarska z Otwocka, Wala Tandeta - weźcie mnie do siebie. Ja bym chciała zobaczyć, jak tam jest.

- A co? Lunapark jestem, że tak chceta się na mnie wozić?! - obruszyła się sklepowa. - Same se włożyła pod pachy, ja już jedną mam. Walka! Bierz się za kulawą Melanię! - Jej ręka wskazała na malutką staruszkę tuż przy ladzie.

Ta założyła sobie na głowę torbę, żeby nic nie widzieć. Tylko ręce złożyła jak do modlitwy. Może się i modliła, prędzej jednak nasłuchiwała, bo w pewnej chwili zapiszczała:

- Łodyńdź pocwaro!

- Ja, pocwara?! - zadrżała z gniewu pomoc aptekarska Tandeta. - Już my cię ujeździm, ty cholero! Za mną pod pachę kulawej Melanii!

Ugięła się Melania pod naporem prawie dwudziestu bab, które skoczyły pod jej pachę.

- Nie pchać się! W kolejce! - pokrzykiwały, bijąc się o wygodną pozycję.

W końcu kulawa Melania leżała, ciężko dysząc, na podłodze sklepu, a pod jej pachą gniotły się wszystkie baby. Jak na ironię miała przed oczami napis: Klient nasz pan. Jaki on był pan, jeżeli nic nie mógł kupić! Sklepowa podeszła do leżącej i z niepokojem zapytała:

- Jak wam?

- Zara kipnę - jęknęła stara.

- Stara korkuje! - huknęło nagle pod pachą. - Trza nam, baby, wiać, bo do ziemi razem z nią pójdziemy. Prędko!

Niestety, łatwo było zepsuć, a trudniej naprawić. Żadna z kobiet nie mogła się wydostać.

- Co to będzie? Nie mozem wyjść! - przekrzykiwały się jedna przez drugą.

- Poczekajta, trza coś wymyśleć - uspokajała sklepowa.

- O mnie nie zapomnijta! - doleciało ją spod własnej pachy wołanie Łozinowej.

- Na rany Chrystusa, co to będzie? - nie ustawało biadolenie.

Nagle do środka wszedł listonosz Albert Dmuchawiec. Okiem wytrawnego czytelnika kryminałów zlustrował wnętrze. Wyjął słoneczne okulary w drucianej oprawie i założył na nos. Zaczął też węszyć jak pies.

- Mówcie! - odezwał się listonosz, wskazując kulawą Melanię serdecznym, ale zdecydowanym ruchem.

- Proszę księdza, później... - wyjąkała z trudem Melania. Listonosz Dmuchawiec skinął ze zrozumieniem głową i spojrzał wymownie na sklepową.

- Ano posprzeczałyśmy się - zaczęła ta niepewnie -i wszystkie baby w sklepie włożyły kulawej Melanii pod pachę. Teraz nie mogą wyjść i...

- A paszporty były? - rzucił służbowo listonosz.

-Jak to? - przestraszyła się sklepowa.

-Wycieczka ma wszelkie znamiona nielegalności. - Głos pracownika poczty był twardy jak skała. - Możecie mieć kłopoty, Beza. Nie zgłosiliście, że urządzacie po swoich pachach wycieczki, nie odnotowaliście nazwisk. W świetle prawa wasze ciało jest obcym państwem, do którego zbiegli nasi obywatele. Jesteście siedliskiem emigracji, Beza! - huknął wreszcie triumfalnie listonosz.

- I co ja mam robić? - rozpląkała się sklepowa.

- Prawdopodobnie będziemy musieli was zaanektować - drapał się w czoło groźny urzędnik. - Wejdą na wasz teren nasze wojska i zbadają sprawę.

-Jak to? - zaczerwieniła się podejrzana. - Na mnie mają włączyć obce wojska? Toż ja mam chłopa! - zawołała.

-Teraz nie jesteście już osobą prywatną, tylko wrogim państwem, które przyjmuje i nie wypuszcza naszych wycieczkowiczów - wyrecytował głośno listonosz.

- Nie zgadzam się! - wrzasnęła sklepowa.

- Nie zawahamy się użyć siły - padła bezbarwna odpowiedź.

- To gwałt! - pisnęła leżąca na podłodze kulawa Melania. Właśnie wtedy do sklepu wszedł Derek. Przybrał już dawne

rozmiary i czuł się wyśmienicie. Ojciec wypisał na jego nazwisko trzydzieści dyplomów, które powiesili w chałupie. Rozpierało go kulturowe poczucie siły i wyalienowania. Łypnął na listonosza i płaczącą sklepową, dotknął czubkiem buta leżącej Melanii, wreszcie usiadł na ładzie i warknął:

- Telegram?

- Idźcie stąd, obywatelu, tutaj rozstrzygają się sprawy wagi państwowej - odrzekł listonosz i przybrał marsowy wygląd.

- A w mordę chce? - zapytał Derek przymilnie i zamajtał nogami.

- Obywatelu... - zaczął listonosz, lecz nie dokończył, gdyż chwyciła go jakaś ogromna łapa i zmiąwszy w pączek, przywiązała do roweru.

- Obywatelu... he, he... - zaśmiał się lekceważąco Derek.

- Możem się popróbować jak Wilhelm Tell, ty grzmocie - zakończył, wykonawszy w mózgu karkołomną kombinację.

Tak więc znalazło się i jabłko, i łuk; kuszy nikt nie miał. W oczekiwaniu na bieg wydarzeń sklepowa wykonywała jeden oddech na minutę, a kulawa Melania liczyła swoje ostatnie godziny. Przed sklepem realizowała się szwajcarska legenda po polsku.

- Nie ruszaj się, bo jabłko spadnie - napominał Derek listonosza, rozciągając łuk.

I stało się, strzała nie utkwiała w jabłku, lecz trochę niżej - w czole listonosza Dmuchawca. O dziwo, ten nadal czuł się świetnie i zaczął wołać do Derka:

- Jeszcze raz! Jeszcze raz! Poczekaj, aż wiatr osłabnie!

- W porządku - odpowiedział naśladowca Wilhelma Telia, nie dając się długo prosić.

Napiął łuk i wypuścił drugą strzałę. Tym razem było trochę gorzej, gdyż bełt ugrzązł w prawym uchu tamtego.

- Spróbuj na klęczkach! - zachęcał niecierpliwie listonosz.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze!

Oczywiście Derek się nie bał, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego Dmuchawiec nie ucieka; już dawno powinien zerwać sznury i zniknąć. Tymczasem ten wołał, żeby do niego strzelać. Wariat? Niemożliwe, przecież to listonosz - rozumował Derek.

Więc kto? Niestety, nasz bohater zbyt mało wiedział o kompleksach drzemiących w ludzkich mózgach. Z tego też względu niewiele powiedziałoby mu naukowe określenie - masochista. Zrozumiał, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem, nie domyślał się jednak, że groźniejszych na świecie już nie ma. Może dlatego nie wstrząsnął nim dreszcz - brrrr!

- Ratuj! - doleciało go ze sklepu wołanie. - Pod pachą mamy nasze kumy i nie mogą wyleźć.

Derek przerwał na moment rozmyślania o listonoszu, odwrócił głowę i zawołał do sklepowej:

-Jak ci zrobię remanent, to zaraz wyleżą, he, he...

Straszne słowo: remanent rzeczywiście hipnotyzowało sprzedawców. Łozinowa wyleciała spod pachy i głośno pacnęła o podłogę. Była wyzwolona. Coś tam w jej głowie też musiało się wyzwolić, bo wybiegła ze sklepu i kłusując przez wieś, krzyczała:

- Precz z Targowicą! Niech żyje koło gospodyń wiejskich! Niech żyje pancernik „Potiomkin”!

Reszty Derek już nie słyszał. Patrzył na kulawą Melanię, która wypełzła właśnie na ganek. Była prawie w agonii.

-Jesce ja, panocku... U mnie so wsykie - seplenila cicho.

- A to kto? - udał zdziwienie Derek.

- Kulawa Melania. Na chama wlażyły jej pod pachę -wyjaśniła sklepowa.

Derek chwycił za kark leżącą Melanię, w dwóch skokach przebył schodki i wbiegł do sklepu. Usadził Melanię koło beczki z ogórkami. Przed ich oczami piętrzyły się półki z towarami. Niełatwo było wyzwolić kulawą Melanię, podobnie trudno ugasić tłące się próchno. Nagle sama natura przyszła Gudłajowi z pomocą. Sięgnął do góry i wziął w rękę dżem pomarańczowy, który zalegał na podejrzenie dużym metrażu. Postawił go na podłodze tuż przed oczami siedzącej Melanii. To samo zrobił z butelką porannego mleka.

- Popatrz se, stara - mruknął z konsumenckim błyskiem w źrenicach.

Kulawa Melania spojrzała i spod jej pachy kolejno zaczęły

wypadać uwięzione baby, kiedy usłyszała, że dżem pomarańczowy i poranne mleko toczą ze sobą rozmowę. Posługiwały się również mimiką - dżem mlasnął parę razy, jakby przelykał ślinę, a mleko zupełnie zsiniało. Dżem powiedział: Jestem już tak stary, że nauczyłem się mówić. Prowadzę wykłady dla młodszych roczników. Pleśnięję i staję się coraz bardziej nerwowy. Tęsknię za sokami trawiennymi”. Mleko odparło: „Mnie zabito zaraz po urodzeniu. Podano mi truciznę. Nie cieszę się nawet, że ktoś mnie kupi. Cierpię na depresję”. Ta podsłuchana rozmowa całkowicie ocuciła kulawą Melanię, która pozbywszy się spod pachy intruzek, pognąła jak szalona w stronę kościoła.

Derek odstawił na miejsce dżem i mleko, po czym wyszedł ze sklepu. Czekał tam na niego listonosz, który z namaszczeniem przeglądał się w brudnej szybie. Szczególnie strzała wbita w głowę była doskonale widoczna, a czoło nawet nie napuchło.

- No, strzelaj! - zawołał na widok Derka, nastawiając w jego stronę gołą pierś.

To nie były już żarty! Zapachniało nagrobkiem. Derek odepchnął natręta i warknął:

- Wynocha, bo cię zadołuję!

- Uch! Tak! Tak! - wołał w ekstazie listonosz-masochista, liżąc mu z wdzięczności stopy. - Zadołuj mnie, zadołuj!

- Gdzie, ścierwo?! - Derek odtrącił go kopniakiem.

- Zaklinam cię, mocniej! - zaryczał tamten bezwstydnie i ugryzł go w prawe kolano.

Cierpliwość Gudłaja wyczerpywała się powoli. Po raz pierwszy nie mógł sobie poradzić z przeciwnikiem. Listonosz rzucał mu się pod nogi, ocierał o jego skórę, ślinał ubranie. Czyżby to był wysłannik piekieł? Derek tak właśnie zaczynał myśleć. Przez całą wieś przeszli razem, a namolny typ nie rezygnował i dopominał się o tortury.

Nie odstąpił od Derka także w zagrodzie. Dopiero w takich momentach stawało się jasne, co stanowi największe zagrożenie dla człowieka. Zwykła agresywność była niczym w porównaniu z tym niewinnym pragnieniem śmierci i cierpień. Po upływie tygodnia listonosz-masochista wyglądał jak wieszak



na ostre narzędzia, gdyż Gudłajowie odganiaли go tym, co mieli akurat pod ręką. Tkwiły więc w listonoszu Dmuchańcu scyzoryki, sierp, trzy ostrza od kosy, podkowa, kłonica, stylisko od grabi, brona w plecach, misiura rycerska na głowie (a prawdopodobniej siatka z klatki na króle), kawałek piły tarczowej, skobel w oku i sztuczne zęby starego Gudłaja w prawej łopacie.

Upłynął jeszcze miesiąc i sytuacja stała się nie do zniesienia. Derek od czasu pojawienia się listonosza-masochi-sty ani razu nie obejrzał telewizji, nie mówiąc już o realizacji własnych przemyśleń. Chował się gdzie się dało, a przyłapany zniemacka aplikował listonoszowi porcję cierpień. Tamtemu jednak wciąż było mało i domagał się czegoś bardziej wyrafinowanego. Czym były metody chilijskiej junty w porównaniu z inwencją Derka? Marnością! Dla masochisty było to jednak za mało - on żądał śmierci. Wreszcie ojciec wziął listonosza w obroty i regularnie okładał go cepem w całkowicie niespodziewanych momentach. Wtedy Derek mógł nareszcie włączyć telewizor, by szukać tam pomocy. I nie zawiódł się. Jego duchowy żywiciel proponował treści na każdą okazję. Tym razem znalazł je w programie zatytułowanym NURT, a konkretnie w monologu profesora Śruby, który mówił na temat: Armaty agresji a brzytwy moralności. Nic bardziej adekwatnego!

Od tej pory Derek powielał listonosza-masochistę we wszystkich czynnościach. Tamten się łąsił, więc i on się łąsił; tamten kładł się w przejściu, chcąc, żeby go podeptano, zaraz też wyciągał się obok niego ktoś z Gudłajów - niekiedy wszyscy. W skokach pod pług Derek także mu towarzyszył, nawet w krowim łajnie się razem tarzali. Naśladownictwo to często było niebezpieczne. Raz na przykład listonosz-masochista zawołał:

- Masz mi rozłupać łeb siekierą!

- Ty też masz mi rozłupać! - odparował Derek. Tamten sięgnął po siekiere, zamierzył się i już miał rozplatać Der-kowy łeb, gdy nagle przypomniał sobie:

-Ja byłem pierwszy, ty kłamco!

W ten sposób najmłodsza latorośl rodu Gudłajów mogła kilka razy ocalić życie. Strach pomyśleć, co by było, gdyby

Dmuchał nie przestrzegając kolejki.

Wreszcie listonosz nie wytrzymał. Stał któregoś ranka przed chałupą i krzyknął:

- Źle mi u was! Nikt mnie nie wali. Każdy tu szuka grobu. Do niczego taka komitywa. Odchodzę! Walnijta mnie chociaż raz na drogę!

Derek może by i dzielił go między oczy na pożegnanie, ale matka nonszalancko ubodła bykiem żuraw przy studni i śmiejąc się, zawołała:

- Synu, przymierz się i ty!

Po takim dyplomatycznym triku listonosz-masochista odwrócił się i w milczeniu odszedł. Na drodze za to nie ominęło go szczęście: akurat przejeżdżała tamtędy kosiarka i zanim kierowca spostrzegł szaleńca, został on poturbowany. Pograżonego w nieświadomości zawieziono natychmiast do szpitala. Tam podobno szybko odzyskał przytomność, po czym wypił baniak krwi, połknął kroplówkę i uciekł. Nikt o nim więcej nie słyszał.

Derek jeszcze miesiąc cierpiał na lęki nocne, a czasem nawet się moczył, ale w końcu wszystko ustało. Znów był zdrów, omijał tylko listonoszy, którzy nawiedzali wioskę.

Wietrzył w nich nieprzyzwoitość i obłudę. Zrozumiał, że pozorny spokój na twarzy urzędnika państwowego może oznaczać znużenie, a nawet chorobę. Może to być jednak okrutna maska, za którą kryje się zwyczajny masochista.

Góra przysła i już nie wysła.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Przekroczenie czterdziestego szóstego roku życia było dla Derka niezwykle znaczące. Odczuł przemożną potrzebę miłości. Popadł w nastrój melancholii i zniechęcenia. W telewizji oglądał wyłącznie radzieckie melodramaty. Jego serce dostawało nieraz takiej arytmii, że zwierzęta w oborze słabły, a pewien czupurny kogut po prostu padł na zawał. Emanacja Derkowej tęsknoty była tak wielka, że dopadła również ojca i matkę. Zaczęli oni trzymać się za ręce, tulić i szeptać czułe słówka. Ludzie w okolicy żalowali Derka i modlili się, żeby prędko znalazł narzeczoną. Zbyt długo trwająca melancholia mogła się przemienić we wściekłość, a to zagrażało wiosce niebytem. Prawie pół wieku jej mieszkańcy żyli na becze prochu. Pewnie dlatego każdy tam był bogobojny i nie myślał wyłącznie o sprawach doczesnych; parafianie skupili się wokół księdza Biedy i drzeli.

Tym razem nie telewizja, lecz coś innego uratowało wioskę - obiektywna sytuacja społeczno-polityczna, czyli własna dentystka w ośrodku zdrowia. Niebiosa też zapewne maczały palce w tym objawieniu, ponieważ uzębienie dziarskiego ludu praktycznie dawno już zniknęło. W rozciągniętych od swojskiej kielbasy gębach sterczały tylko pniaki, co mogło przypominać kurort leśny sprzed dwóch tysięcy lat.

Dentystka nazywała się Zdzicha Kościcha i miała fryzurę w stylu kenzo, czyli z pretensjami do świata. Z tyłu głowy włosy zostały prawie doszczętnie wystrzyżone, natomiast pobocza tuż przy uszach układały się w długie pasma. Grzywka zwisała sobie według prawideł mody papuaskiej.

Pachniało od niej perfumami z Pewexu. Nosila niedopasowane bluzy i spodnie z krocem na kolanach. Paznokcie malowała na zielono, a bladą twarz nasączała mocno pudrem. Tak ją ujrzała któregoś dnia rodzinna wioska Derka. Prosty lud zafalował jak łany zbóż. Gromadnie stawił się przed ośrodkiem zdrowia i w milczeniu patrzył. Z lękiem myślano o pierwszej wizycie. Do

takiej szantrapy! Bezwstydna! Do tego jeszcze własnym samochodem przyjechała. Sołtys odcyfrował napis: fiat 126p. Zaczęło się ściemniać, a ludzie nie odchodzili. Obserwowali okna dentystki, w których błysnęło światło.

- E, prawdziwa jesteś?! - zawołał ktoś nieśmiało.

- Pokaż się, dentystka! - zawtórowały mu inne głosy I to zaważyło na dalszych kontaktach wsi z dentystką. Nagle okno otworzyło się z hukiem i na parapet wskoczyła postać w białym fartuchu, z białosiną twarzą (nie wiedziano, że używa maseczki z kwiatu lipowego) i ze szczypcami w rękach. Przygarbiła się, spojrzała groźnie i zawołała grobowym głosem:

- Uha! Hu-ha! Na kolana, kmioty!

Cywilizowana wioska ugięła się pod przyganą doktorki. Zaczęto się bić w piersi, a niektórzy nawet odważyli się jęknąć:

- Wybacz, jasna pani. My nie wiedzieli. Jutro przypro-wadzim kozę. Wybacz, kwiecie różany. Nie karz, czarodziejko.

- O, taka będzie profilaktyka! - przerwała dentystka i jednym straszliwym szarpnięciem wyrwała dziesięcioca-lowy gwóźdź z parapetu. - O rany, jak mi się chce rwać!

Ostatniego zdania już nikt nie słyszał, wszyscy gnali czym prędzej do domu. Przeklinali chwilę, w której zdecydowali się oglądać nową doktorkę. Pan Bóg widocznie zapomniał o nich, skoro przysłali im takiego upiora - dumają gminne dewotki. Mężczyźni po raz setny już odtwarzali sobie w biegu wyrwanie gwoździa. Ten obraz stał się obsesją wieśniaków na długie lata.

Derek dowiedział się o wszystkim następnego dnia rano od jednohektarowego chłopca Józefa Omlota.

- Wyrznie nas jak barany - podsumował ten całe zajście.

- Że niby jak? - nastroszył się Derek.

- A tak! - odparł tamten i przejechał kantem dłoni po gardle.

Derek dalej nie słuchał. Postanowił zobaczyć doktorkę osobiście. Smarknął na drogę przez palce i ruszył w stronę ośrodka. Sąsiedzi pokazywali go ukradkiem i szeptali:

- Samobójca. Panie, świeć nad jego duszą.

- Albo nad jej - mruknął pod nosem sołtys i wygodniej rozparł się na ławce.

Wiedział już to, co powinien wiedzieć.

A jaką płec ma dentysta?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

W ośrodku było pusto i cicho. Na podwórku stał tylko samochód doktorki i rower sprzątaczkii. Derek ostrożnie wspinał się po schodach, pilnie wypatrując odpowiednich drzwi. Zwabił go warkot maszyny. Zapukał po miastowemu, ale nikt nie odpowiedział. Przyłożył więc pięścią i od razu się przejaśniło, dykta wpadła z trzaskiem do środka. Zobaczył ją. Biały fartuch, na głowie piekarska czapka, a na nogach trampki. Siedziała na fotelu dla pacjentów i obrabiała bormaszyną jakiś gnat. Nawet nie odwróciła głowy, tylko rozkazała krótko:

-W kącie umywalka i publiczna szczoteczka. Umyć zęby! Derek nacisnął cicho klamkę zniszczonych drzwi i podszedł niepewnym krokiem do umywalki. Rzeczywiście, stał tam kubeczek, a w nim szczoteczka ze znacznie nadwierzonym włosiem. Bał się nie na żarty. Po raz pierwszy w życiu miał myć zęby. Widział to już na filmach, ale sam nie próbował. Zresztą niewiele tego miał. Może ze cztery pogruchotane pniaki. No, ale jak kazali...

- Już - przypomniał się półgłosem.

Ukradkiem obserwował szafę z narzędziami tortur. Wzdrygnął się i wbił spojrzenie w doktorkę. Wyłączyła bormaszynę, po czym usłyszał wiele obiecujące słowa:

- Wyszczierz zęby! Tak, parszywe. Siadaj tutaj, będziemy leczyć. Niezły łom z ciebie.

Rozwalił się na fotelu i pokraśniał z zadowolenia. Lubił miastowe komplementy - a jeszcze od takiej! Coraz bardziej mu się podobała.

- Będiesz moim królem doświadczalnym - doleciało go z boku.

A więc jednak podobał jej się, nawet królem go nazwała. Skwapliwie przytaknął. On, Derek Gudłaj, królem... I to jeszcze jakimś takim specjalnym. Nazwy nie zapamiętał, ale mu się kojarzyła z wesołością.

- Chcesz mieć ładne zęby? - zapytała nagle doktorka. Mruknął potakująco w odpowiedzi. Dla niej mógł mieć każdą ilość i jakiegokolwiek. Ona doktorka, ona rządzi - na twarzy rozpląnął mu się błogi uśmiech.

- Zrobię ci coś ekstra - ciągnęła wywód dentystka. - Będziesz betony gryzł, ty żłobie - obiecała i poklepała go po łysej czaszce.

Zęby usunęła Derkowi wspaniale - na całe życie to zapamiętał.

- Otwórz gębę! - usłyszał gdzieś koło ucha jej głos.

- Widzisz mnie? - zapytała i zaraz sama sobie odpowiedziała:

- To dobrze... Zobacz, ptaszek! - rozkazała nagle i w tym momencie ogromne obcegi zabarykadowały mu przełyk, a przedni pniak zapiszczał tylko i było po wszystkim.

Nie na długo. Zdołał uchylić jedno oko, zobaczyć jak przez mgłę wyrwany ząb, gdy sparaliżował go następny okrzyk:

- Akuku!

Tym razem chciał zamknąć usta, ale nie zdążył. Wepchnęła mu na sztorc butelkę po sprayu, zaparła się trampkiem o czoło, dwoma rękami ciągnęła. Ząb siedział wyjątkowo mocno. Szarpała go na wszystkie strony i ani drgnął. W końcu skoczyła mu nogami na pierś, wygięła się w pałąk i zaczęła prawdziwie dentystyczny taniec. Miotła się na prawo i lewo, deptała Derka bez żadnego umiaru, aż wreszcie rozległo się jej radosne: urrra! Derek poczuł nagłą ulgę, usłyszał świst i łomot ciała o przeciwległą ścianę. Z pianą na ustach podeszła do niego, niosąc w szczypcach niespotykanej długości korzeń.

- Był taki długi - wyjaśniła mu radośnie - że sięgał pewnie do mózgu. Zostały jeszcze dwa. Zastosujemy inną metodę. Przy okazji zjem śniadanie.

Derek stał się świadkiem kolejnego cudu w medycynie. Bo oto dentystka zdjęła trampki i w palce u nóg chwyciła szczypce. Ze spokojem zawodowca sięgnęła ręką do torebki i wyjęła kanapkę. Zaczęła ją ze smakiem zajadać. W tym czasie jej stopy pracowały nad obluzowywaniem zębów. Regularnie spadały na nie kopniaki i uderzenia szczypiec. Pod koniec śniadania dwa ostatnie zęby Derka same wypadły.

- Na dziś wystarczy. Dobry z ciebie król - pochwaliła go i w

nagrodę zaprawiła hakiem w wątrobę. - Żebyś mi jutro przyszedł, palancie - dodała i pokazała mu palcem drzwi.

Derek z ulgą opuścił gabinet. Gęby zupełnie nie czuł, a jego mózg wysyłał tylko jeden sygnał: SOS. Wracał do chałupy przekonany, że jest dwunasta w nocy. Dziwił się tylko, dlaczego tyłu ludzi go mijają, a traktory pędzą we wszystkie strony niczym w żniwa. Ostatecznie uznał, że to pasterka. Z kołędami na ustach przemierzył wieś i przejaśniło mu się dopiero koło wliisnej zagrody. Później przesiedział jeszcze kilka godzin w obórce i po słabości nie zostało śladu. Po zębach zresztą też.

Następnego dnia znów ciągnęło go do tej, która nazwała go królem. Pragnął gorąco zwierzyć się dentystce ze swoich uczuć i wysłuchać, co ona ma do powiedzenia. Ubrał się też trochę lepiej niż poprzednio. Nałożył nawet podkoszulkę z amerykańskim napisem: Billy Lemon. Tym razem pojechał do ośrodka na rowerze. Panował tam zwykły spokój - ludzi nie było, a doktorka cicho śpiewała.

Derek nastawił uszu i po chwili rozpoznał słowa: Gdybym to ja miała skrzydełka jak gąska, poleciałabym ja za Jaśkiem do Śląska... Swojaczka - pomyślał, krztusząc się z radości. Postawił rower pod ścianą i długimi susami podążył na górę. Dykty w drzwiach nadal nie było. Doktorka siedziała na podłodze i przeglądała jakieś pisma. Kolorowe zdjęcia wzruszyły Gudłaję: załkał skrycie. Otarł szybko powieki i zawołał:

- Przyszedłem!

- A, król doświadczalny - powiedziała, wstając, i wolno podeszła do Derka.

- Pokaż wały - zaçadała i złapała go ręką za brodę.

-Jakie wały? - nie zrozumiał Gudłaj.

- Wały zębne! - huknęła na niego.

Później zaczął się prawdziwy film gangsterski - scena z wymuszaniem. Doktorka wysypała na stół trzydzieści sześć haceli do podków, przywiązała Derka prześcieradłem do fotela i mruknęła:

- Nikt na świecie nie ma jeszcze takich zębów. Ty będziesz pierwszy, królu doświadczalny.

Imadło omal nie zmiażdżyło Gudłajowi głowy. Przy wierceniu

i gwintowaniu kanałów zdawało mu się, że pędzi z prędkością światła. Wiertarka elektryczna prawie go rozżarzyła. Trwał w takim stanie także podczas wkręcania haceli. Zdzicha Kościcha błyskawicznie posługiwała się olbrzymim „francuzem” i po pięciu godzinach Derek miał pełny garnitur nowych zębów. Zacisnął szczęki i poczuł w sobie nadludzka siłę.

- Masz, przegryź sobie - rzekła doktorka i opadła ciężko na poręcz fotela, a na kolanach Derka wyładowała dobrze wypalona cegła.

Odruchowo włożył ją do ust i zatrzasnął szczęki. Na podłogę spadł gąszcz okruszków. Srebrzysty, doskonale oszlifowany uśmiech Derka rozjaśnił otoczenie. Zebrał się więc w sobie i nieśmiało, przestępując z nogi na nogę, zaczął:

- Eee, ja to bym chciał... Nooo, tego... Wie pani doktorka. Coś mnie uwiera. Mhm, co by tu jeszcze...

Dentystka Zdzicha Kościcha popatrzyła na niego dłuższą chwilę, rozebrała się całkiem do naga i stanęła przed nim w bezwstydnym pozie. Gudłajowi dech zaparło z wrażenia.

- Gotowy? - szepnęła.

Ledwie Derek zdołał skinąć głową, a już odwróciła się do niego plecami - zobaczył zamek błyskawiczny, który ciągnął się na długości całego kręgosłupa.

- Rozpinaj! - rozkazała.

-Tak jest - odrzekł Derek i pociągnął za dzyndzel. Skóra opadła ze Zdzichy na podłogę, a przed zdruzgotanym Gudłajem wyprężył się nieznany, zarośnięty męską sierścią jegomość.

- Doktor Kilder jestem - powiedział i uściśnął Derkowi prawicę.

- Prawdziwy? - zapytał Derek ze zgorzeniem i nieufnością. Tamten jednak nie odpowiedział, tylko stanął na rękach. To wystarczyło. Derek uspokoił nieco skołataną nerwy i uważniej zlustrował Kildera. Był normalny, ale dolna szczęka sterczała mu do przodu jak u buldoga.

- Będiesz milczał? - zapytał cicho Kilder.

- Harcerskie słowo honoru - odparł Derek tak przejęty, że odważył się skłamać; nigdy przecież w harcerstwie nie był, bo nie zdążył.

Doktor Kilder wyciągnął z kieszeni fartucha leżącego na podłodze skalpel i stanąwszy przed Derkiem, zapytał:

- A więc braterstwo krwi? Dobra?

Derek widział już braterstwo krwi na filmach, nie zachwiał się jednak i wystawił rękę. Skalpel rozciął mu skórę po wewnętrznej stronie przedramienia, a chwilę potem to samo stało się z ręką doktora Kildera. Połączyli swoje rany i krew się zmieszała. Kapała powoli do podstawionej szklanki z wodą. Popatrzyli sobie głęboko w oczy - jak Winnetou i Old Shatterhand - i jednocześnie wyszeptali:

- Bracie...

- Bracie...

W taki oto sposób doktor Kilder i Derek Gudłaj stali się braćmi na śmierć i życie. Kilder sięgnął po szklankę z wodą, w której rozpuściła się ich krew.

- Prosit! - zawołał i wypiszący połowę, podał resztę Derkowi.

- Na zdrowie! - krzyknął Gudłaj i wlał zawartość do gardła.

To nie jego wina,
że był człowiekiem,
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Ludzie szybko dowiedzieli się, że groźna dentystka, Zdzicha Kościcha, zniknęła. Nikt jej nie żałował. Za to teraz chętnie odwiedzano gminny ośrodek zdrowia. Doktor Kilder miał całkiem inne metody. Przede wszystkim zwołał zebranie całej okolicy i między innymi powiedział:

- Dość życia w ciemnocie. Uczynię z was prawdziwych arystokratów. Będziecie wszyscy wyglądać tak dobrze, jak wielki ród królów i książąt, ród Habsburgów.

Oczywiście większość słyszała o Habsburgach i mocno im to zaimponowało. Wyglądać jak Habsburg - sama radość! Douczono też rychło młodsze pokolenie, które po prostu płakało z ochoty zostania królem z wyglądu. Nie to, co zwykły kmiot! Rozpoczęło się leczenie. Jego wyniki byłyby interesujące dla patologów, ale żaden tam nie dotarł.

Gdyby ludzie, którzy tak zachłannie rzucili się na arystokratyczny wygląd, wiedzieli, co się za tym kryje, zapewne życie doktora Kildera nie byłoby warte funta kłaków. Na szczęście dla niego - nie wiedzieli. Nie mieli też pojęcia, że jest on wyklętym przez ogólnokrajowe sympozja stomatologiczne eksperymentatorem, człowiekiem, który musiał uciec ze swego środowiska w przebraniu kobiecym, aby szpiedzy nie ruszyli jego tropem. Udało mu się i zaczął tutaj na nowo rozwijać skrzydła. Nie zdradził jednak swoim pacjentom istoty zmian, które ich czekały: nie powiedział, że wygląd Habsburga ilustruje jedną z najbardziej pospolitych wad zgryzu, tak zwaną progenię. Charakteryzuje ją wysunięta daleko do przodu zuchwa i profil, który przypomina z kształtu sierp.

Doktor Kilder umieszczał twarz pacjenta w specjalnie skonstruowanych lupkach, które nazywał aparatem stałym. Po upływie czterech miesięcy szczeka wysuwała się do przodu, a po kolejnych dwóch następowało utrwalenie się zgryzu. Habsburg był gotowy!

Na zabieg zgłaszały się setki chętnych. Podkreślanie koneksji z królami wydawało się teraz mieszkańcom podotwockich okolic czymś niezbędnym do życia. Przychodzili nawet tacy, którzy w ogóle nie mieli zuchwy. Dochodziło niekiedy do śmiesznych nieporozumień. Na przykład pewien azjatycki korespondent, zobaczywszy przypadkowo ogromne ilości ludzi w aparatach stałych, jeszcze tego samego wieczoru doniósł w swojej korespondencji: „Wielu Polaków jest dziedzicznie obciążonych dybami, w jakie zakuł ich przodków nasz Dżingischan”. Oczywiście informacji tej nigdy nie sprostowano, dzięki czemu arystokratyczne koneksje tak zwanych Polonusów zostały wreszcie zauważone i docenione. Niewątpliwie nobilitowało to również cały naród.

W tym czasie Derek Gudłaj, brat krwi doktora Kildera, rozładowywał swoje nabrzmiące miłością do Zdzichy Koś-cichy uczucia. Sama Zdzicha już się nie liczyła, wykuł się z niej ktoś inny, ale namiętność pozostała. Utrata nadziei tylko wzmocniła w nim potencjał zmysłowy. Musiał coś z tym zrobić!

Stało się to w miejscu, gdzie ją poznał. Na placu przed ośrodkiem. Niech przynajmniej inni zobaczą prawdziwy miłosny żal. Niech panny płaczą i łkają brom, patrząc na jego odwagę. Wykonał wiele pełnych poświęcenia numerów, ale trzy z nich szczególnie były warte uwagi.

W południe, kiedy mrowie ludzi stało przed ośrodkiem i czekało na swoją kolejkę, Derek podjechał na plac wozem zaprzężonym w cztery dorodne konie pociągowe.

Postawił wóz na boku, wyprzągł zwierzęta i wyszedł na środek placu. Nałożył sobie na tułów jakieś grube sznury, które z kolei przyczepił do uprzęży każdego konia z osobna, po czym zawył przejmującym głosem:

- Za moją miłość do Zdzichy, niechaj mnie konie rozerwą!
Wio!

Skoczyły do przodu ciężkie rumaki, każdy w inną stronę, i w jednej sekundzie z Derka zrobiła się zawieszona na czterech sznurach gwiazda. Szarpnięcie było potworne. Ludzie wrzasnęli przerażeni, ale Derek wytrwał. Konie nie zdołały rozedrzeć go na strzępy. Zaryły się kopytami, rzały i ciężko sapały

naprężonymi chrapami, lecz Gudłaj zdawał się być ze stali. Nawet ryknął do stojących w pobliżu gospodarzy:

- Pogońta je, bo padną!

I pogonili. Bali się Derkowego niezadowolenia. Konie tarły brzuchami o ziemię, toczyły pianę z pyska, a Gudłaj wisiał w powietrzu i rozglądał się wokół po ludziach jakby nigdy nie. Niestety, w końcu stało się - konie padły. Derek wstał z ziemi i nerwowo zwinął sznury. Wrzucił zamęczone szkapy na wóz, nałożył na siebie chomąto i wolno ruszył do chałupy.

Następnego dnia powtórzył całą scenę, wzbogacając ją dodatkowo: rozrywało go teraz osiem wielkich zwierząt. Niedługo, ponieważ rychło padły. Kościec Gudłaja nie poddawał się zwyczajowym praktykom. Konie były dobre na przeciętnych cierpiętników, a nie na pierwszego bysiora w okolicy.

Po nieudanym rozrywaniu Derek próbował inaczej rozładować swój ból. Nie zwracając uwagi, że jest lato, rozpalili w piecu centralnego ogrzewania w ośrodku, po czym wyniósł z niego na plac rozżarzony koks. Zdjął ubranie i spokojnie położył się na ziemi. Po chwili wpadł widocznie w miłosny nastrój, bo przeturlał się na gorący koks. Gwizdnął donośnie i z ośrodka wyszedł doktor Kilder z olbrzymią spawarką w ręku. Na twarzy miał maskę.

- Przyspawaj mnie do ziemi, bracie - odezwał się Derek.

Doktor włączył spawarkę i strumień ognia spadł na korpus Gudłaja. On sam leżał spokojnie i patrzył w niebo. Wreszcie wstał zrezygnowany i jednym zdaniem wszystko zakończył:

- To mnie tylko łaskocze, bracie...

Dopiero ostatni numer całkowicie uzdrowił Gudłaja. Pamiętał doskonale gangsterski film, po którym trzy noce nie mógł zasnąć. Tytuł Francuski łącznik raz po raz za-plądniał jego zbolełą świadomość. Pozwalał mu otrząsnąć się z cierpienia i niepewności. Derek i tym razem przebrał się za podstawioną postać, za bohatera, który jest gotów zginąć dla sprawy bandy. Włożył stary prochowiec ojca, postawił kołnierz i przykrył głowę kapeluszem. Na nogi wsunął czarne lakiery, po czym skierował się do ośrodka. Wszystko było już ustalone. Doktor

Kilder przyjmował pacjentów i wypatrywał francuskiego łącznika. Derek nie miał pistoletu, ale dysponował czymś lepszym: odartym z izolacji kablem zakończonym rozgałęziaczem. Trzymał to wszystko w kieszeni płaszcza, w mocno zaciśniętej dłoni. Stał wreszcie na schodach ośrodka, gdzie tłum wieśniaków pogrążony był w marzeniach o przemianie w Habsburga. Doktor dostrzegł przybysza, rzucił bormaszynę i łupki, chwycił za przedłużacz podłączony jednym końcem do kontaktu i zbiegł na dół, ciągnąc go za sobą. Zatrzymał się przed Derkiem - francuskim łącznikiem, i szepnął konspiracyjnie:

- Niech ci ziemia lekką będzie...

W tym momencie Derek wyciągnął rękę z kieszeni i podsunął Kilderowi rozgałęziacz. Tamten szybkim ruchem podłączył francuskiego łącznika do prądu. Trzęsło go tak pół godziny, po czym połączenie przerwano. Informacja została przekazana. Derek też poczuł się znacznie lepiej.

- O, takiego wała! - wykonał znaczący gest do nadlatującego sępa, który zabłąkał się przez pomyłkę nad Polskę, i odszedł. Za to ptak, któremu zrobiło się głupio, że za wcześniej się wyrwał, stracił panowanie nad skrzydłami i runął w dół.

Pomocnicy, pełnomocnicy i przyjaciele
przeważnie żyją z nożem w plecach.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Okres wspaniałych osiągnięć stomatologicznych doktora Kildera prędko się skończył. Przeszkodził temu jak zwykle okrutny los. Pewnej słonecznej niedzieli, kiedy tysiące okolicznych chłopskich rodzin udawało się do kościoła, a każdy wyglądał na rasowego Habsburga, wszystko się wydało. W czasie mszy wzrok ludzi wyłowił skradającego się pod ścianą osobnika. Jak się okazało, był to miejscowy grabarz, zwany Szczeną. Zwrócono na niego uwagę już wcześniej, ponieważ był bardziej podobny do Habsburgów niż oni sami. Z pomocą doktora Kildera szczęka jego tak się wydłużyła, że mógł się nią posługiwać jak łopata. Często tak zresztą czynił.

Po nabożeństwie ludzie wyszli przed kościół, zebrani w małe grupki zaczęli zwyczajowo rozprawiać o świecie. Nagle wzrok Derka spoczął na siedzącym koło bramy cmentarnej grabarzu. Coś czytał. Gudłaj zbliżył się i z trudem odcyfrował napis: „Rude Prawo”. Straszne! Tak szkalować prawo. Zatrzymał się przed grabarzem i warknął:

- Ktoś ty?

- Były szpicel carski, Wsiewołod Pawłow - odpowiedział służbiście tamten.

- Dokumenty masz? - przycisnął go Derek.

- Mam - odrzekł grabarz, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął legitymację.

Gudłaj wziął ją do ręki, zrobił mądrą minę i zawołał o pomoc:

- Ludzie! Grabarz udaje znachora! Do mnie! Trza go zbadać!

We wsi nigdy nie odmawia się pomocy, nawet jak jest dużo roboty. Później może być za późno i nie będzie o czym wnukom opowiadać. Podeszli i chmurnie popatrzyli na grabarza.

- Dajcie tu jakiegoś światowego człowieka, bo nieuczony tu nie poradzi - rozwijał swoją myśl Derek.

Były sprawy, w których nie czuł się kompetentny, a poza tym wolał omijać podejrzane sytuacje. Zbyt często dokonywał

odkryć inżynierskich, aby dać się złapać na lep grabarza. Poczekaj, to zobaczysz.

- Nasz Waluś niech pogada. On uczonek - pierwsza odezwała się Guzikowa.

Nikt nie oponował. Wieś nabrała nawet powietrza w płuca, gdyż to Walenty Guzik właśnie był człowiekiem, który rozślał jej nazwę na całym świecie. Należał do tak zwanych cudownie zaprogramowanych. Już w kołysce rodzice zapisali go do wszystkich możliwych organizacji. W przedszkolu Waluś znalazł między innymi temat swojej pracy magisterskiej: „Huzia na Józia!”. Uczył się bardzo dobrze, ale alfabet i cyfry poznał dopiero na studiach. Wcześniej nie zdążył - musiał zdawać z klasy do klasy. W swoim życiu przeczytał tylko kilka książek. Przez radio, bo czas naglił. Kolejnym krokiem naprzód było jego małżeństwo z córką profesora Bulwy. W tym też czasie opublikował trzy prace naukowe. On sam się dziwił, że jest tak genialny, ponieważ w sumie miały one objętość trzech tysięcy stron i pojawiły się w jednym czasie. Próbował sobie przypomnieć, kiedy je napisał, ale wymagało to czyjejś pomocy. Teść Bulwa pokazał mu więc maszynę do pisania i wytłumaczył, co to za urządzenie. Waluś cieszył się z tego ogromnie. Na piersi nosił karteczkę z datą złożenia prac w wydawnictwie.

Po tym wszystkim wysłano go do Paryża, gdzie zaaklimatyzował się natychmiast, mimo iż zawsze podkreślał swoje uwielbienie dla surowych warunków życia. Przez parę lat podróżował Waluś po świecie i szukał coraz surowszych warunków. Chyba nie znalazł, bo powrócił do kraju, gdzie w ciągu jednej nocy napisał następne trzy książki, a rano podpisał je do druku. Wreszcie uhonorowano jego pracowitość i wyjątkową skromność - zdecydował się przecież na kilkuletnie dobrowolne zesłanie za granicę

- tytułem „Pierwszego Doktoranta Uniwersytetu”. Gazety rozniosły szeroko tę wieść i Waluś stał się znany każdemu dziecku i chłopcu w swojej wsi. Właśnie odwiedził po raz pierwszy od dziesięciu lat rodziców; samotnie, w czarnym samochodzie i w skromnym ubraniu z Toronto.

- Dobra. Załatwimy to migiem - zaczął dziarsko Waluś i zbliżył się do grabarza.

- Tylko ostrożnie - przestrzegł go Derek, podając legitymację Szczeny, i usunął się na bok.

Waluś pochylił głowę, coś tam czytał wytrwale, po czym zapytał podejrzanego:

- Skąd u was taka szczęka?

Grabarz milczał. Pokazał tylko palcem na stojących ludzi, co miało oznaczać, że woli rozmowę gdzieś w ustronnym miejscu. Waluś nie sprzeciwił się temu i obaj udali się godnym krokiem na spacer między nagrobki. Ludzie czekali na wynik rozmów pod bramą. Po dwu godzinach Waluś powrócił, ale grabarza z nim nie było. Z nadętą miną wyjaśnił:

- Był to dawny szpicel carski o personaliach: Wsiewołod Pawłow. Czytał czeskie gazety, w tym „Rude Prawo”. Po polsku znał osiemnaście wyrazów. Umiał mówić tylko po amerykańsku. Legitymował się papierami kapitana Abwehry. Obecnie pracował jako agent i pozostawał na usługach stu dwudziestu trzech krajów. Nie stwierdziłem nic podejrzanego oprócz szczęki. Pozwoliłem mu odejść.

Rozpłynął się w powietrzu na moich oczach. Za to wy nie podobacie mi się o wiele bardziej. Zastanawia mnie wasz wygląd. Zbyt jednomyślnie wysuwacie szczęki. To zastanawiające...

Rzeczywiście musiało być w tym coś podejrzanego, ponieważ Waluś natychmiast odjechał, a następnego ranka nie znaleziono w ośrodku doktora Kildera. Zniknął. Notatka w miejscowej prasie podawała, że współpracował z grabarzem Szczeną i obaj rozpłynęli się w tajemniczych okolicznościach. W gabinecie dentystycznym siedział ktoś obcy. Na kieszonce fartucha miał napis: Jestem niemową. Leczył więc w milczeniu i bez zbędnych rozmów z pacjentami. Po tym leczeniu arystokraci zniknęli z mapy gminy i żeby dowiedzieć się czegoś o rodzie Habsburgów, należało sięgać do szkolnych podręczników.

Podobno niektórzy próbują
wiele razy...
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Minęło kilkanaście lat. Gudłajowie postarzelisi się, a Derek grubo przekroczył pięćdziesiątkę. W ich życiu nie nastąpiły większe zmiany. Zdarzyło się w tym czasie parę nowych rzeczy, między innymi odwiedził ich bratanek z Węgier, Derek zaś próbował swoich sił w filmie, ale trwało to bardzo krótko. Kręcono jakiś kryminał i ogłoszono w dzienniku zapotrzebowanie na czarny charakter. Scena mordu na zimno została zagrana przez Derka tak autentycznie, że reżyser uciekł z planu, aktorów musiano uspokajać hipnozą, a dzielny porucznik milicji ze strachu chciał popełnić samobójstwo. Podobnie było z kręceniem sceny nocnego odpoczynku bandyty z żoną. Wystarczyło, że Gudłaj uśmiechnął się do leżącej obok aktorki, by kołdra zaczynała drzeć, a artystka dostawała paraliżu. Dyrektor wezwał wreszcie Derka i ostrożnym głosem powiedział:

- Dla nas jest pan za dobry. Zbyt autentyczny. Panu trzeba idei! Pan mi wygląda na poetę.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać; wiersze Derka Gudłaja popłynęły szerokim strumieniem. To dopiero były wiersze! Groźny wydawał się już sam materiał użyty do zapisu. Zwykle pisarz korzysta z pióra i papieru, ale Derek rył swoje utwory w kamieniu. Redakcje na terenie całego kraju dostawały ciężkie paczki, z których wysypywały się niezniszczalne poezje Derka Gudłaja. Krytyków owionął podmuch z epoki kamienia łupanego. Kąty były zawałone wierszami Derka, poczta nie nadążała z ich dostarczaniem. Nie wiedziano, że ilość ta jest zasługą pomysłowości poety, który założył szkołę rzeźbiarską, przyjął dwudziestu chłopców do terminu i dyktował wiersze. Ryli na zmiany, dzień i noc. W ten sposób nie pozwalał usnąć reklamie.

Niestety, nie doceniono trudów twórcy i nic się nie ukazało. Paczki zaczęły nadchodzić z powrotem, lecz Derek znalazł i na



to sposób. Przez tydzień krążyły po województwie oddziały rzeźbiarskie i w centralnych punktach różnych miejscowości wmurowywały tabliczki z jego wierszami. Nie było to zbyt skomplikowane - po prostu wymieniano płytki chodnikowe.

Później szkoła zawiesiła działalność, a poeta zmienił zainteresowania. Do dziś można natrafić na jego wiersze wmurowane w chodnikach. Przechodnie smętnie zwieszają głowy i czytają je w skupieniu. Ciekawość nakazuje im czytać wszystko, co jest w zasięgu wzroku, a wielu z nich głosi potem, że bez nich kultura nie istniałaby. Ten rodzaj kulturowego piractwa pochlebiał jednak naszemu bohaterowi. Czuł się poetą narodowym.

Jeżeli niby-swój nie dziwi się jak swój,
to jak ma się dziwić swój?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Gudłajowie przeżyli niezapomnianą przygodę z turystą z Węgier, który pomylił kwatery i trafił właśnie do nich. Już go stamtąd nie wypuszczono. Porozumiewali się na migi. Słowa padały rzadko, przy specjalnych okazjach. Nad bratankiem z Węgier Gudłajowie musieli stale czuwać, ze wszystkich stron, bowiem groziło mu niebezpieczeństwo. Ludzie w okolicy byli tak spragnieni kontaktów z wielkim światem, że gotowali potajemnie nawet piwnice, aby móc gościć obcokrajowca przez dłuższy czas.

Raz wyszedł nieopatrznie na spacer poza zagrodę Gudłajów i popadł w poważne tarapaty. Uratował go dopiero Derek, który usłyszawszy nieludzkie wrzaski, wybiegł na drogę i zobaczył straszliwe widowisko. Kilkanaście rodzin z pobliskich zagród otaczało bratanka i smakowicie oblizywało usta. On sam miał ściągnięte spodnie, a na jego gołym siedzeniu wyładowywali kolejno swoją tęsknotę za światem sąsiedzi Derka. Trzymali go pochylonego nad studnią i lizali po wstydzie.

- To hańba lizać w dupę zagranicznika! - huknął na nich z góry Gudłaj.

- Toż to chwala, a nie hańba! Dołącz się pan sam -zachęcał Henryś Gniady, który właśnie odsiedział dziesięć lat za handel stonką. Sprzedawał ją miastowym jako zwierzęta domowe.

- E! Zagraniczny! Może byś narznął mi do czapki -rozległo się skamlanie Wojtysiowej.

- Czego ma wam rznąć do czapki, co? - zapytał poirytowany Derek.

-Toż oni dularami rzną. Nie wiecie? - zawołał ktoś wyraźnie zde gustowanym głosem.

-A wy skąd wiecie? - dopytywał się Derek, a jego szczęki zaczęły mocniej pracować.

- W telewizji pokazują. Wszystko u nich takie błyszczące i...

- Widzicie wy ten wąż do podlewania ogródka? - przerwał mu

Derek, kładąc paluch na jednym z ostatnich krzyków mody. - Coś mnie łąpa śwędzi, żeby wam lewatywę strzelić, wy ciemniaki!

Ludzie rozstąpili się. Nikt nie śmiał zaczepiać Gudłaja. Dobrze pamiętali jego eksperymenty, a tym bardziej różne niewyjaśnione zdarzenia.

- Co, sami będziecie go lizać? - odważyła się bąknąć któraś z bab.

- Maciągowa, chcecie mieć nowy żołądek? - zapytał Derek, wyciągając z portek pudełko od zapalek i znacząco je poklepując.

To wystarczyło. Po upływie minuty nie było już nikogo. Tylko turysta z Węgier wolno podciągnął portki i spokojnie, jakby nic się nie stało, podszedł do Derka. Mrugnął wesoło lewym okiem i z zadowoleniem zatarł ręce. Gudłaj poklepał go po plecach i ruszyli z powrotem do zagrody. Nie bardzo rozumiał radość zagranicznego gościa, ale złożył to na karb tamtejszego folkloru. Może u nich to normalka?! Nie przeczytał też nigdy listu bratanka do rodziny, w którym tamten opiewał dbałość Polaków o higienę osobistą oraz bezinteresowną chęć łagodzenia turystom. Napisał przy tym o kastowości w społeczeństwie, które miało specjalne lotne oddziały wylizywaczy obok tak zwanych odmiennych obywateli. Tu oczywiście miał na myśli Derka.

Inne wzruszenia miewał bratanek przy jedzeniu. Początkowo czuł się przytłoczony tempem zdarzeń, ale wreszcie wszystko zrozumiał. Na stole pojawiała się ogromna micha z kartoflami okraszonymi skwarkami, a tuż obok po talerzu zupy, przeważnie czerwonego barszczu. Kartofle należały do wszystkich, barszcz był wydzielony. Pierwszy raz skończyło się dla niego fatalnie - oprócz barszczu nic nie zdążył zjeść. Sięgnął po łyżkę i było po wszystkim. Ojciec wygarnął połowę do swojego talerza, matka złapała ze trzy kartofle, a resztę wymiółł Derek. Dla niego została tylko jedna plamka tłuszczu w misce. Zaplątał się również spieczony skwarek. Wyglodził się przez dwa dni i zaatakował. Zdziwił nawet Gudłajów. Nie pojedli sobie, oj, nie pojedli...

Gość z Węgier nazywał się całkiem po ludzku - co przyznali nawet Gudłajowie - Andras Major. Matka natychmiast podchwyciła nazwisko i już został Majorem. Codziennie dopominał się on wszelkimi sposobami, aby zawieziono go do Warszawy i pokazano stolicę. Chciał także poczynić pewne zakupy, a w szczególności kusił go krem „Nivea”. Niestety, trafił do rodziny, która niezbyt wdzięcznie wspominała swój pierwszy pobyt w syrenim grodzie i nic nie było w stanie zmusić jej do powtórki. Poza tym Derek miał pewne przyzwyczajenia i nie zamierzał z nich rezygnować. Ostatnio z zapalem grywał po całych dniach w piłkę na szkolnym boisku. Dołączał do dziesięcioletnich kolegów i nieraz nawet bramki strzelał. W swym sportowym zapale widział w bratanku co najmniej potomka słynnego Puskasa. Nie dopuszczał też myśli, że może on nie kochać niemal dziesięciogodzinnych meczów.

- Major, pajdiom igrać w miacz! - ten okrzyk przez tydzień budził bratanka ze snu; zrobił się on chudy jak szczapa, ziemisty na twarzy, a ręce przy jedzeniu żenująco mu drgały.

Wreszcie uparł się któregoś dnia i pojechali. Do Otwocka, bo Warszawę Derek wybił mu z głowy, mówiąc:

- Brrrm, brrrm... Niet! Otwock eto mniam, mniam...

- Charaszo - zgodził się zrezygnowany gość.

Przez miasto przelecieli w zawrotnym tempie. Derek nie pozwolił zatrzymać się koło żadnego sklepu. Bratanek pokazywał coś na wystawie, machał zachęcająco rękami, ale zawsze otrzymywał pełną godności odpowiedź:

- Tfu! Eto fabryka!

W ten sposób Węgier nabrał swoistych wyobrażeń o rodzinnym kraju swego gospodarza. Były to jego jedyne - ale jakże niezwykle - obserwacje turystyczne. Po wykorzystaniu urlopu Derek wsadził go do pociągu i pożegnał. Bratanek zajechał na Dworzec Centralny, zdążył przesiąść się na pośpieszny do Budapesztu i to był jego właściwy pobyt w Warszawie. W wagonie sypialnym zwałił się zaraz na łóżko i zasnął. Czuł się jak zawodowy bokser po nokaucie. Wiózł ze sobą niezapomniane przeżycia. Polaków pokochał szczerym i serdecznym uczuciem i Polskę głęboko podziwiał.

Opowiadał później znajomym, że jest tam wspaniały podział obowiązków - jedni bez przerwy pracują w fabrykach, które mieszczą się prawie w każdej bramie, drudzy natomiast wyłącznie „igrają w miacz”. Przestał go też dziwić brak sklepów - zrozumiał, na czym polega odmienność państwa eksportowego.

Derek z żalem rozstał się z przyjacielem. Uważał go wprawdzie za zbyt ciekawskiego typu, ale sportowe zacięcie tamtego ustawiło całą sprawę w pozytywnym świetle. Wówczas też doszedł do wniosku, że każdy zagraniczny turysta powinien być wysłany na wieś, gdzie w pełni sprawdzi się jego narodowe zdolności.

Materią rządzi spirytyzm.
A czym rządzi spirytus?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Niedługo po wyjeździe bratanka odbył się pod kościołem odpust. Impreza ta zaważyła mocno na inicjatywie Derka i przypomniała mieszkańcom wioski o jego zdolnościach. Wszystko zaczęło się bardzo prozaicznie. Ot, kupił sobie Gudłaj zbiór horoskopów. Jakiś handlarz wyblągał u niego, żeby wziął; przysięgał, że to dostarczy mu niezapomnianych chwil. Zapewne nie przypuszczał, jak bardzo prorocze były jego słowa.

Któregoś dnia włamano się na plebanię i zniknęły dokumenty wszystkich parafian, przy tym ktoś szczególnie skrupulatnie powybierał odpisy aktów urodzenia. Później we wsi zaczęły się mnożyć różne cuda - a to ni stąd, ni zowąd każdy mieszkaniec znajdował swój horoskop, a to regularnie pojawiające się liściki o lakonicznej treści: „Jesteś Bykiem!” albo: „Jesteś Baranem!”. Zadziwiająca była trafność, z jaką je podkładano - nie zanotowano żadnej pomyłki w znakach.

Początkowo nie miało to większego znaczenia. Nikt się nie przejmował wybrykami jakiegoś wariata - jak mówiono. Problem wykluwał się stopniowo. Listy przychodziły, tygodnie i miesiące mijały i niektórzy nie wytrzymali logiki argumentacji nieznanego nadawcy. Przedsięwzięcie odznaczało się zadziwiającą znajomością natury człowieka. Jako pierwszy załamał się kowal Jan Wałach. Urodził się on pod znakiem Panny i mając żonę oraz czworo dzieci, nie potrafił uciec od monotonii anonimowego sformułowania: „Jesteś Panną!”. Pewnego dnia wysłał więc swatów do szklarza z Malcanowa, niejakiego Szordykowskiego. Przysługę tę oddali mu głuchy Benio Ptal oraz wdowa Pyskaczowa.

Szklarz myślał początkowo, że urządzają zbytki, i rechotał wesoło:

- Że niby on Panna i chce wyjść za mąż? I swatów mi przysłał?

Rzecznicy kowala skinęli poważnie głowami, a Pyskaczowa dodała:

- Powiadał kowal, że będzie dobrą żoną.

Twarz Szordykowskiego nieco zżółkła, ręce same zanurzyły się w kicie, a nogą podsuwał sobie powoli kawałek deski. Para swatów przeżyła całe zajście, ale ze wstydu wyniosła się na starość w drugi koniec Polski. Kowal jednak nie załamał się: zmienił pracę i włożywszy modną sukienkę, siadał przy krosnach, nucił miłosne pieśni i tkął. Rodzina nie opuściła go, ponieważ miała w tym czasie podobne problemy. Kowalowa na przykład uwierzyła, że jest Wagą, i chodziła na rampę kolejową wynajmować się jako sprzęt techniczny. Kładła się na placu, kazała się przykryć platformą i wołała:

- Mózeta sypać!

Podobno z czasem przekonano się do niej. Nigdy nie zawodziła, od razu podawała wynik:

- Dwie tony i trzydzieści trzy kilogramy.

Dzieci wprawdzie nie dostawały listów, ale cierpiały razem z rodzicami. Głupio im było informować, że ojciec jest Panną, a matka Wagą.

Po tych wydarzeniach wszystko potoczyło się już lawinowo. Niekiedy były to sytuacje niegroźne i nawet zabawne, ale częściej udziałem adresatów stawały się tragedie i cierpienia. Janina Kłos, która kilka lat wcześniej przeszła na zasłużoną emeryturę, zrozumiała nagle, że jest Rybą. Poszła trochę popływać w towarzystwie pewnego dorodnego szczupaka (widziała go z kładki) i została tam już na zawsze. Wincenty Knurek zaczął nagle chodzić tyłem.

Popiskiwał przy tym cieniutko: „Jestem Rakiem”. Sąsiad Gudłajów, Zbigniew Oksiuta, dorwał się w pewien sobotni wieczór do płotu i namiętnie go trykał. Rozpędzał się, beczał przeraźliwie i walił wygoloną czaszką w plot. Wszyscy domyślali się, kim jest. Inaczej było z sołtysem, który wyjechał bez pożegnania, zostawiając jedynie kartkę: „Jadę w góry. Jestem Koziorożcem”. Niektórzy gospodarze narazili się nawet prawu. Ryszard Kułak na przykład, chłop-ro-botnik z dwudziestoletnim stażem, przestał cokolwiek robić po uświadomieniu sobie, że jest Lwem. Rozwalił się na progu chałupy, ziewał przeciągle i spał. Kontraktacje przepadły, w

zakładzie szlifierskim zrezygnowano z jego usług, a w urzędzie zatrudnienia wpisano go na czarną listę. Dwa dni później podpadł jeszcze bardziej - podczas nocnego polowania zagryzł jelenia. Podpatrzył to dzielny myśliwy i Kułak wyładował na ławie oskarżonych.

Po pewnym czasie wieść tak podupadła, że aż zainteresowano się nią w województwie. Komisarz Pachol przystąpił do śledztwa z zadziwiającą energią. Dokonał na wstępie kilkunastu przesłuchań, po których odnotował tylko jedno nazwisko: Derek Gudłaj. Słyszał o nim już znacznie wcześniej, ale wieść gminna niosła, że lepiej go nie zaczepiać. Obecnie miał podstawy służbowe, aby zaatakować groźnego „inżyniera” - jak nazywano Derka w okolicy.

Z nosem przy ziemi dotarł do zagrody Gudłajów i śmiało przestąpił jej granice. Nic się nie stało - cisza i spokój. Zajrzał do stodoły - nic, zajrzał do obory - nic, wszedł do chałupy i pociemniało mu w oczach. Przy stole siedzieli kosmici. Trójka. Delikatnie przysunął się do pieca, zaparł się z całej siły nogami i czekał. Wszyscy milczeli. Kosmici mieli na sobie skafandry z folii ogródkowej, na nogach gumowce kanalizacyjne, a na głowach czapki kominiarki i ciemne okulary. Największy z nich poruszył się wreszcie i sięgnął pod stół. Wyjął stamtąd tubę od starego patefonu i zaczął przez nią mówić:

- Ktoś ty? Tylko bez jaj, bo w ryja.

- Komisarz Pachol. Piąty rewir. Poszukuję obywatela Derka Gudłaja. Jest podejrzany o...

- Za późno, stróżu. Ja jestem Derek Gudłaj, ale nie należę już do ziemskiej władzy. Oddałem się pod opiekę kosmitom. Tam se o nich przeczytaj - powiedział uroczyście Derek, a jego wzrok spoczął na leżącym obok czasopiśmie.

Komisarz podszedł do stołu i ostrożnie wziął je do ręki. Zakaszlał gwałtownie, kiedy zrozumiał tytuł: „Fantastyka”. A więc to był poszukiwany organ międzygalaktycznej reakcji! Sukces! - kołatało w głowie komisarza. Sukces na miarę wszechświata! Dostanie tak ciężki order, że złamie mu się pod nim kręgosłup. O niczym piękniejszym na zakończenie kariery nie mógł marzyć. Przerzucił parę kartek, na każdej propaganda

kosmiczna. Przy okazji zapamiętał sobie skład redakcji; dobrze znać tych, którzy pchają się pierwsi na orbitę.

- Jakim prawem zmieniliście opiekuna? - zapytał z surową miną komisarz.

- Prawem? - zaśmiał się Derek. - Żadnym prawem. Sami żeśmy to wymyślili, he, he... My już nie jesteśmy zwykli ludzie. Trenowali my według przepisów w tej książce i udało się. O! Patrz pan!

Komisarz był zatwardziałym materialistą, ale po tym, co zobaczył, mocno zachwiał się w swoich poglądach. Gudłaj włożył sobie nagle rękę w przelyk, wcisnął ją prawie do łokcia, płynnie zaczął nią gmerać gdzieś w środku swojego tułowia. Widocznie znalazł to, czego szukał, bo oczy wyszły mu na moment z orbit, a po chwili wyciągnął z siebie własne serce. Uderzało rytmicznie, jakby nie odczuwało w ogóle tego, co się z nim działo. Derek dostrzegł przerażenie komisarza, bo wyrzucił z siebie:

- Przepraszam, że gadam niewyraźnie, ale nie chcę przegryźć tej żyły.

Nie musiał tego mówić. Komisarz doskonale wiedział, o którą żyłę chodzi.

- A teraz zademon... Cholera! - włączył się ojciec, próbując odtworzyć z lektury jakiś trudny wyraz, ale zawiodła go wena.

- Tak, tak. Pokażę ci zawał, ty buraku! - podchwycił Derek, który, jak się okazało, świetnie rozumiał rodziciela.

Natychmiast też przystąpił do rzeczy. Zmiażdżył w dłoni aortę i uderzył sercem o stół. Cały zsiniał. Stracił oddech i kiedy wydawało się, że wydaje z siebie ostatnie tchnienie, włożył serce z powrotem, ale tylko do ust i miarowo zaczął nimi poruszać. Po kilku minutach przełknął ślinę, a ono wpadło na swoje miejsce, znów był zdrów. Komisarz stał oniemiały.

- No? Jestem kosmita czy nie? - pochylił się w jego stronę Derek. - A może ciebie nauczyć, co? No, to otwieraj gębę!

- Chcecie mnie zamordować? - wrzasnął komisarz, odzyskując nagle głos. - Będę walczył - dokończył z determinacją.

- Jesteś dureń - ocenił go krótko Derek. - Ojciec, pokaż mu, że ty też kosmita.

Stary Gudłaj nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Podeszedł do ściany, odwrócił głowę i poinformował:

- Jak chcę, to mogę być radiem.

Dwa jego palce zanurzyły się w gniazdku elektrycznym, a oczy rozbliły światłem jak lampka kontrolna. Za-telepało nim, rozległy się niewyraźne trzaski, po czym z jego gardła popłynął precyzyjny głos spikera.

- O Jezu! - zapomniał się komisarz. Nie dali mu jednak odpocząć.

- Matka! Teraz ty! - rozkazał Derek.

Gudłajowa zbliżyła się do komisarza i stanęła tuż przed nim.

-Bierzta mnie! - ryknęła nagle z całej siły i uniosła rękę. Zapadła cisza i Gudłajowa nie wiadomo kiedy przestała być widzialna, rozpadła się na atomy. - Widzisz mnie? - usłyszał nagle szept komisarz. Miał zamiar odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo ze wszystkich stron zaczęły dolatywać podobne głosy. Powtarzały uporcezywie: - Widzisz mnie? Widzisz mnie, widzisz mnie, widzisz mnie...

Komisarz Pachol stopniowo popadł w odrętwienie. Kołowało mu się w głowie od tego wszystkiego. Gudłajowa zniknęła na jego oczach, a do tego jeszcze podzieliła się na setki głosów. Tego było już za wiele! Wolno położył dłoń na gazie łzawiącym. Jeszcze chwila i zakończy ten cyrk.

- A teraz se odpoczniesz, pacanie! - zawołał gwałtownie Derek, jak gdyby wyczuł, co się święci, i po raz któryś tego wieczoru ciekawość zgubiła komisarza.

Zobaczył tylko, jak syn Gudłajów zdjął z nogi gumiak, jednym szarpnięciem ściągnął skarpetę i przyłożył ją do ust. Dmucnął pięć razy i utworzył się olbrzymi balon. Komisarz poczuł na pośladku kopniaka i zachwiał się. Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się w ciemnym wnętrzu skarpety. Ktoś zawiązał ją koło wylotu i zapanował spokój.

- To elastyczne, będzie ci ciepło, he, he... - pocieszył go czyjś głos. Nim zdołał odpowiedzieć, uderzył go w nos tak straszliwy smród, że zemdłał.

Mówię do was ja, Odpadek, gnoje!
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności misja komisarza Pachoła była tajna, więc nie musiano się obawiać natychmiastowej interwencji jego mocodawców. Nikt nie mógł wiedzieć, że horoskopowe niespodzianki były zasłoną dymną dla bardzo poważnego przedsięwzięcia Derka Gudłaja. Dojrzewało ono w nim stopniowo. Początkowo oglądał niewinne Sondy, później skrupulatnie analizował ich treści, aby wreszcie odczytać ukryte w nich przesłanie. Zrozumiał, że Ziemia to szczeniak, który w kosmosie może się dopiero zacząć liczyć. To bolało go szczególnie. Zdecydował się zaś ostatecznie na czyn po przeczytaniu zakupionej przypadkowo w kiosku „Fantastyki”. Pismo - o czym Derek nie wiedział - rozwaliło mózg już niejednemu. Roje marzycieli zlizywały farbę drukarską z najbardziej fantastycznych wizji i niebezpiecznie prątkowały.

Gudłaj zamierzał zrealizować coś konkretnego, coś na miarę swoich inżynierskich talentów. Wciągnął do dzieła matkę i ojca, zarysował im plan działania. Rozpoczęli, kiedy kampania horoskopowa uświadomiła ludzi. Którejś nocy wynieśli ze sklepu chłodnię i dwie lodówki. Sklepowa zastała rano kartkę na drzwiach z napisem-, remanent. Nie zauważyła nawet, że odbywa się on bez niej, i wróciła spokojnie do domu. Niech se liczą, ona przyjdzie, jak skończą - dumiała, obrębiając służbowy fartuch przerobiony na spódnicę.

Tymczasem Gudłajowie zanieśli sprzęt na poddasze remizy i starannie zabezpieczyli przed złodziejami. Pierwsza faza planu została pomyślnie zakończona.

W ciągu kilku miesięcy gazety odnotowały wzrost napadów na wysypiska śmieci. Powszechnie zaczęto rozpisywać się o tym, że ich bezwartościowość jest tylko pozorna, że na olbrzymich hałdach leżą ciężkie tysiące. Zarządzono pogotowie alarmowe dla wszystkich służb MPO. W całym kraju ogrodzono wysypiska wysokim murem i postawiono wartowników. Rozpoczęły się regularne walki między strażnikami a

złodziejskimi gangami. Szczególnie groźny i nieuchwytny był jeden z nich, zwany Bandą Odpadków. Przestępcy pojawiali się o różnych porach dnia i nocy, stosując przy tym niekonwencjonalne metody postępowania. Zwykle wchodzili wprost do pojemników na śmiecie, a pod wieczór spokojnie lądowali na zwałowisku. Ten sposób działania był wyjątkowo niebezpieczny.

Zdarzyło się na przykład na wysypisku w U., że wartownicy spostrzegli rano, iż pilnują niezwykle wielkiego supermarketu, gdzie wszystko było przygotowane do dnia pracy. Nie mogli pojąć, w jaki sposób góry śmieci zamieniły się w nowoczesną dzielnicę handlową. Zszokowani udali się szybko do dyrekcji i zażądali wyjaśnień. Tam jednak o niczym nie wiadano. Po powrocie na teren wysypiska zauważono ślady kół jakiegoś ogromnego pojazdu. Wyjechał on z supermarketu na szosę i to było wszystko, czego zdołano się dowiedzieć. Trop się urwał. Banda działała sprytnie. W końcu większość wysypisk przestała istnieć.

Derek odetchnął. Skończył się najtrudniejszy etap w przygotowaniach. Mieli wszystko, co było potrzebne, a nawet komplety zapasowe. Teraz przystąpili do ostatniej fazy prac.

Są ludźmi ale nie chce ich znać.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Okolica powoli się uspokajała. Horoskopy szły w niepamięć. Ludzie byli spragnieni relaksu. Odżyły więc organizowane przez straż pożarną dyskoteki. W remizie znów zaczęto szaleć, a stropy pokryły się bąbelkami parującej wódki. Do zabawy garnęło się głównie młode pokolenie, chociaż i starzy przychodzili nieraz popatrzeć. Nie dziwiono się więc, że Derek pojawił się tam również. Skończył wprowadzić już sześćdziesiąt jeden lat, ale nie miał żony, a to był dla ludzi swoisty miernik potencjału tkwiącego w człowieku. Znacznie gorzej przyjęto w remizie rodziców Derka, którzy przekroczyli dziewięćdziesiątkę i według mądrych praw natury powinni się zacząć sypać, im jednak ani w głowie było umierać i wyginali się razem z młodymi. Czegoś podobnego nie spodziewano się nawet po Gudłajach.

Owszem, byli inni, ale obecnie - sądzono powszechnie - przekraczali granice przyzwoitości. Stary Gudłaj miał na nogach buty z czubem, na okazałym obcasie, prze-farbowane na bordowo wojskowe spodnie nabijane srebrnymi cekinami, a na zapadniętym tułowiu wypływały podkoszulek z napisem: „Ich liebe alle Frauen!”. Wraz z wiekiem uleciała z Gudłajów nawet nienawiść do faszystów. Zresztą kosmita - a takimi się od pewnego czasu czuli - powinien omijać podrzędne sprawy ludzi, interesować się tak zwanymi galaktykami. Tę niezrozumiałą nazwę Gudłajowie przyswoili sobie nader szybko. Postanowili na choma znaleźć jej znaczenie.

Matka bulwersowała wioskę jeszcze bardziej. Zachowywała się jak feministka, która o sto lat wyprzedziła ogólne założenia tego ruchu. Prawdziwa kobieta - a właściwie babcia - wyzwolona! Strój topless, mordercze szpile i fryzura afro. Do tego bransolety w stylu masajskim, czyli grube rury Bandziocha, odpowiednio pocięte, oraz kolczyki i naszyjnik ze znalezionych na wysypiskach psich obroży. Straszne było to, że nie schodziła ona ani na moment z desek remizy - odskakiwała

forsowne rock and rolle jeden po drugim. No i oczywiście przyciągała wzrok.

Nikt nie dostrzegł, że Derek i ojciec bardzo rzadko pojawiali się wśród tańczących. Nikt się także nie domyślał, że zapomniane poddasze remizy zostało odpowiednio zagospodarowane i miesiąc po miesiącu realizują się tam ambitne plany Derka. Geniusz młodszego Gudłaja zaprzedał się teraz gwiazdom. Nie wystarczały mu już ziemskie możliwości, które prawie zawsze groziły jakąś interwencją. On pragnął zgłębiać - do czego namawiali w telewizji i przypadkowo kupionym czasopiśmie - tajemnice wszechświata. Wierzył, że wiejski rodowód pozwoli mu zaaklimatyzować się nawet w piekle. Dlatego budował z ojcem raketę, która miała ich zawieźć na krańce nieskończoności. Tego pragnął jego wzrok i dusza. Chciał za wszelką cenę udowodnić, że ludzie wypisują bzdury i że każdy sznur ma swój koniec.

Starym Gudłajom musiał też wytłumaczyć, że nie chodzi o Boga, ale o drogę. Droga wisi w powietrzu i trzeba sprawdzić, gdzie ma swój koniec. Niech się więc nie boją, tylko robią, co każe. On z Panem Bogiem nie zaczyna! Prawdy kosmicznej chce! To wszystko. Z lęklwym błyskiem w oczach przystali do niego. Jak zwykle zresztą. Rodzice powinni dbać o dziecko - pamiętali o tym dobrze.

Pracować mogli tylko z soboty na niedzielę. Sodoma i Gomora, jaka rozgrywała się w tym czasie pod nimi, umożliwiała swobodne obsługiwanie nawet najgłośniejszego sprzętu. Ludzie bawili się!

Kto tam? Prowokator.
Nie ma mnie w domu.
Wiem, dlatego przyszedłem.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Od przygotowań do podróży Derek oderwał się tylko raz. Podczas pobytu w Otwocku dopadł go nagle jakiś agitator i zaczął namawiać:

- Przejdź na naszą stronę. Przejdź, nie pożałujesz. Sprzedasz, co masz, i pojedziesz z nami. Zobaczysz krainę szczęścia i dobrobytu. No, nie bądź tchórzem! Nie skąp grosza i przyłącz się do wycieczki. A tu masz foldery.

Derek przyglądał się z uwagą tłustemu jegomościowi i głęboko rozmyślał. Kraina szczęścia. Nigdy czegoś podobnego nie widział. Gdzie może się znajdować? W górach czy nad morzem? Jego wierny nauczyciel – telewizor - mówił, że w takiej krainie właśnie się znajduje. Czyżby kłamał? Niemożliwe, przecież do tej pory nigdy go nie zawiódł. Ile więc jest tych krain, dwie? A może więcej? Takie pytania rzuciły się na Gudłaja jak wściekłe psy. Był nieszczęśliwy, bo nie mógł się bronić. W Derku zrodziła się także inna myśl, znacznie gorsza. Pojął, że gdyby taka kraina istniała na Ziemi, to jego byłoby na wierzchu. Byłby to właśnie koniec sznura, którego szukał: skończo-ność nieskończoności! Przeraził się trochę, ale nie zrezygnował z walki. To on miał znaleźć taką krainę, a nie dać się tam zaprowadzić jak cielak na rzeź. Niemniej jednak musiał sprawdzić gadanie grubasa. Złapał go nagle za krawat i zagadnął:

- Co trza zrobić, żeby pojechać? Gadaj, ty wieprzu!
Usłyszał konkretną odpowiedź. Wrócił do wsi i szybko zebrał kapitał. Wycieczka jest droższa niż podróż w kosmos - dumał smętnie. Sprzedał cały sprzęt zmechanizowany, jaki mieli w zagrodzie, pozbył się wszystkich kur i prosiaków, ale nadal nie wystarczało. Dorzucił więc do tego wrota od stodoły, biżuterię matki (nie pożałowała mu) i zegarek ojca. Kraina szczęścia wymagała jednak znacznie większych poświęceń - sprzedał



więc kolejne dobra i udało się. Miał pieniądze na wycieczkę! Nie myślał o bezdomności, która chwyciła ich teraz w swoje szpony. Cała zagroda i hektary Gudłajów znalazły się w rękach działacza społecznego Mariana Wylizaja. Im pozostała tylko nielegalna kwatera na strychu remizy. Pocieszali się, że nie na długo.

Wycieczka do krainy szczęścia odbywała się pociągiem. Wszystkie wagony były przeznaczone dla turystów. Pociąg mknął przed siebie, wioząc spragnionych szczęścia obywateli. Wszyscy przygotowywali się na spotkanie z rajem. Większość chlała niedoczyszczone piwo i jadła podejrzone kielbaski, ale czego się nie zniesie dla przyszłej radości? Derek obserwował w milczeniu swoich bliźnich i czekał na przemienienie. Widocznie zbliżyli się wreszcie do granic krainy, ponieważ niektórym zaczęły się zmieniać rysy. Najbardziej zafrapowało go to, że wszystko odbywało się bezoperacyjnie. Jego współmieszkaniec z przedziału odsłonił wredną lisią mordę, a wielki rudy ogon wyrósł mu niezauważalnie spod krzyża. Ten należał do obytych - nie zdziwił się nawet tą przemianą. Za to przeważająca większość czuła się wyraźnie upokorzona i podejrzewała w tym działanie sił nieczystych. Dużo było baranów, lisów i świń, które zmuszone były jakoś się ze sobą pogodzić. Wszak jechali jednym pociągiem! Gudłaj spojrział w okno, ale nie znalazł tam swojego odbicia. Nachylił się i wypatrywał. Nic. Ciemna plama, na której wszystko można namalować. Była to twarz człowieka postronnego, godnego i zarazem prywatnego, szaleńca i geniusza, człowieka pozbawionego od urodzenia złudzeń...

Do przedziału zajrzał agitator. Derek nie zwlekał. Chwycił go za ucho i odpowiednio nakręcił. Teraz był jego!

- Gdzie kraina, co? - warknął groźnie Gudłaj.

- Zaczyna się - bąknął agitator, drżąc ze strachu. Widział, jak kciuk Derka powoli zamienia się w młot pneumatyczny. Przepadło, trzeba wszystko wyznać. Kciuk niebezpiecznie ocierał się o palec wskazujący.

- Nie ma krainy. Jestem podłym kłamcą - padło ciche wyznanie.

- A moją zagrodę kto przechłwał? - głos prześladowcy wydał się

agitatorowi dziwnie spokojny, toteż nic nie odpowiedział, tylko ostrożnie wyciągnął z marynarki popularny dziennik.

- On ją ma - wtrącił się turysta z lisią twarzą, wskazując brodą gazetę.

Poznali go wszyscy. Ten sam co wszędzie. Nerwowy i tajemniczy. Dyktator, który bazuje na naszej polskiej gościnności - pomyślał Derek. Przypomnił sobie Murzyna Bokasę, którego tak zgrabnie skłęli parę razy w dzienniku. Tego też dopadną - wspomniął z uznaniem szalejących reporterów. Gudłaj pogodził się ze stratą. Nie miał czasu na walkę o utraconą schedę. Wzywał go kosmos. Postanowił rozwikłać inną sprawę. Utkwił spojrzenie w agitatorze.

-A co z tym pociągiem, parchu? - wycedził przez zęby.

- Wstyd powiedzieć... - zarumienił się agitator.

- No właśnie - zgodził się Derek i przezornie usiadł bliżej okna.

Tamten załamał się w końcu. Zdradził, że jadą najlepszym składem dyktatora, wysłanym specjalnie w międzynarodowy kurs. Oficjalnie była to wycieczka turystyczna, a w praktyce pociąg jechał na podryw. Dokumentacja określała go mianem: pociąg-podrywacz. Dlatego zainwestowano w niego ogromne ilości kosmetyków. Pachniał już z daleka. Dobrano odpowiednie farby i wyszedł z tego przystojny brunet. Pociąg-podrywacz musiał mieć też duszę. Nie było lepszej duszy niż turyści spragnieni krainy szczęścia. Teraz wystarczyło tylko otrzeć się o jakiś interesujący skład, wzbudzić w nim zaufanie, połączyć się i dalej już razem w drogę. Oczywiście płeć tutaj nie wchodziła w grę, więc nie było zbędnych komplikacji. Po takiej wycieczce tabor kolejowy dyktatora powiększał się kilkakrotnie, a jego mafia zyskiwała dozgonnych przyjaciół na całym świecie.

Derek wysłuchał spokojnie tej enigmatycznej opowieści, po czym wstał i popukał się w czoło.

- Idź ty lepiej do spowiedzi, człowieku. Ksiądz może urok z ciebie zdejmie - powiedział.

Agitator wstrząsnął się jak przed święconą wodą i stuknęła nogą w podłogę ekspresu.

- On mnie uwiódł - tłumaczył się. - Teraz już musimy być razem. Jestem główną duszą pociągu-podrywacza. To moje ciało. Zniewalałem różne koleje - niemieckie, belgijskie, angielskie, francuskie...

- A te zniewalałeś? - Lisia twarz podsunął agitatorowi kolorową pocztówkę z ogromnym składem. Tamten łypnął tylko raz i wbił wzrok w przepelnioną popielniczkę.

- Te nie... - szepnął namiętnie.

Zdawało się, że gdyby mógł, natychmiast zawróciłby pociąg i uderzył w konkury. Rozumieli go dobrze. Każdy z nich przeżywał kiedyś swoją pierwszą szczeniacką miłość. Nie zapomina się o tym.

Derek postanowił przerwać tę nieudaną wycieczkę i wrócić. Pociąg-podrywacz nie pociągał go - ot, zwykły czmul! Nie rozumiał, jak można z kolei zrobić burdel.

Miłość popierał, ale normalną, wśród zwierząt, ludzi - tu myśl Derka pobłądziła nieco - czy też wśród Eskimosów... Ale żeby z kupy żelaza wywieść amanta? Nie, to była wyraźna przesada.

- Dojeżdżamy, panowie - odezwał się agitator. - Pierwszy postój w Gdańsku.

Jego handlowy spryt był
jak szkła kontaktowe.
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Derek wysiadł z pociągu-podrywacza i oniemiał. Czegoś podobnego jeszcze nie widział. Wędrował sobie bez celu z tekturową walizką ojca i żuł przekleństwa. Wszędzie tutaj krzyżowały się skrajności. Niektóre ulice dusiły go swoim wykwintem, a haftowane złotem firanki zwisające z okien lizały po łysej czaszce. Zdawało się, że nawet prawa natury uległy tam odkształceniu, ponieważ z okien wylewano - zamiast pomyj - najszlachetniejsze wina. Może dlatego wielu podróżnych leżało pod ścianami z otwartymi ustami i czekało. Derek po raz pierwszy zobaczył kapitanów marynarki, którzy nosili zwykle marynarki ze sztruksu. Później zauważył, że były one podbijane suto srebrem, ale to jeszcze bardziej mu zaimponowało. Pod wieczór dotarł nad morze i westchnął. Na redzie stała ponad setka statków, które co jakiś czas porozumiewały się przeciągłym rykiem syren. Usiadł na piasku, zdjął buty i patrzył, jak fala podmywa mu lekko stopy. Rozmarzył się na dobre. Nagle usłyszał ciche kwilenie. Ktoś płakał w pobliżu. Znów był sobą i przystąpił do akcji.

- Pokaż się, ty wyjcu! - zawołał w mrok. Płacz ustał. Derek zrobił kilka kroków wzdłuż brzegu i natrafił na sporą łódź rybacką leżącą na piasku. Zaszedł z drugiej strony i zobaczył źródło niepokoju. Stał tam, pochylony nad kamiennym kołem do ostrzenia noży, ogromny rybak i piłował sobie paznokcie u nóg. Wydawały one przeraźliwy pisk. Był w płaszczu rybackim zarzuconym luźno na ramiona. Pod spodem miał wytarte spodnie do kolan i zatknięty za pasem kordelas. Usłyszał Derka w ostatniej chwili, kiedy ten położył mu niemal łapę na ramieniu. Odwrócił się błyskawicznie i straszliwe ostrze kordelasa przecięło powietrze. Śmierć otarła się o Gudłaja, który cudem pochwycił w swe zęby z haceli bezlitosną broń. Trzasnął dwukrotnie szczęką i z kordelasa zostały tylko kawałki.

- Na Boga, ktoś ty, panie? - zawołał napastnik.

- Derek Gudłaj - padła zwięzła odpowiedź.

Według wszelkich prawideł rządzących postępowaniem Gudłajów rodzina tamtego powinna już kopać dół na cmentarzu, ale widocznie starość przytępiła krewkość Derka, ponieważ całkiem spokojnie zapytał:

- A ty kto?

- Kapitan Flint, szyper okrętu korsarskiego. Mam tyle złota, że nie wiem, co z nim robić, dlatego tutaj przypląnąłem - odpowiedział ten ochryplym i przepitym głosem.

-Ja też kiedyś rozdawałem biednym. Byłem wtedy Zorrem... Czego tu tak pusto? Nikt nie chce złota? - zainteresował się Derek, rozsiadając się wygodnie na piachu.

- Chcą, ale rachunków im się zachciewa. We łbach się ludziom teraz przewracało. Żądać od korsarza kwitów! Dobrze, co?

- Dobrze - zgodził się Derek.

Rozumiał ból pirata. I wtedy przypomniał sobie telewizyjną bajkę o starym człowieku i morzu. Całej nie pamiętał, ale to najważniejsze znał. No, jebi twoja raz! Teraz se użyję!

- Gdzie masz krypę, panie szyper? - zawołał energicznie i z radością zatarł ręce. - Wykierowałem na ludzi niejednego, to i was wykieruję. Złoto jest?

Kapitan Flint nagle się odmienił. Nabrał ochoty do życia. Ten nieznamy typ, który wystraszyłby swym wyglądem najgorszego łotra w jego załodze, dodawał mu otuchy.

- To mój najnowszy szkuner, panie Gudłaju. Tam jest wszystko. Musimy go tylko trochę popchnąć.

Stara rybacka łódź zakołysała się wreszcie na falach i w pośpiechu wskoczyli do środka. Wypłynęli daleko w morze. Derek pokazał głową na sztaby złota i zawołał:

- Wyrzucaj to wszystko!

-Jak to? - zdziwił się nie na żarty korsarz.

- Wyrzucaj, to będą kwity!

Kapitan Flint zdecydował się w końcu i zaczęli wyrzucać za burtę sztaby złota. Po dwóch godzinach zrobiło się pusto.

- Teraz siadaj na burtę i włoż jedną nogę do wody. Będziemy

wabić rekina - rozkazał Derek.

- A przynęta? - obruszył się kapitan.

- Złotem żeśmy podnęćili, he, he... Tylko nie wyciągaj nogi! - Gudłaj był w swoim żywiole.

Stali tak aż do brzasku. Derek zawiązał dużą pętlę na sznurze do sieci, a kapitan Flint moczył wytrwale nogę. Zaczęło się nagle. Korsarz przysnął trochę, kiedy coś ło-motnęło w burcie łodzi i po chwili poczuł, jak na kolanie zatraskują mu się szczęki rekina.

- Ludojad!!! - ryknął przerażony i w tej samej chwili nagle szarpnięcie wrzuciło go do wody.

Rekin wyraźnie chciał go wciągnąć w głębinę. Postanowił walczyć. Zdawało mu się, że pod jego pachami pracuje pila tarczowa. Nie zauważył, jak Derek zarzucił na niego misternie przygotowaną pętlę i kontrolował przyta-pianie. Rekin ciągnął w jedną, a Gudłaj w drugą.

- Trzymaj się, bracie! - pocieszał nieszczęsnego kapitana. Włączył silnik łodzi i skierował ją do portu. Oczywiście na wyczucie. Gdzieś przecież musi być port! Łódź gnała więc na pełnych obrotach przed siebie, Derek leżał na dnie i trzymał linę, a kapitan Flint miotał się pięćdziesiąt metrów za nim. W lewą nogę wgrzył mu się ogromny rekin i nie puszczał.

- Zmęczymy go! Nic się nie martw! - przez jednostajny warkot silnika przedzierał się głos Gudłaja.

- Gudłaj, ratuj! Zaczyna... Auuuu! Już mnie trawi! - rozległ się śmiertelny krzyk, paraliżując ryby w promieniu kilometra.

- Masz, napij się! - Z łodzi wyleciała butelka czystej, zatoczyła łuk i zdzieliła kapitana w głowę. - Jełopa... -mruknął z niesmakiem Derek.

Nieszczęsny Flint zupełnie już stracił orientację. Krew ściekała mu ze skroni, rekin trawił nogę, a kamrat ciągle wymyślał coś na pocieszenie. Do tego złoto!... Wytrawny pirat przeżywał katusze.

- Umieram! - wykrzyknął, rozkładając dramatycznie ręce, i znów przykryła go woda.

- Uważaj! Krew zwabiła inne rekiny! Spróbuj o tym nie myśleć! - nadleciała po chwili pokrzepiająca rada.

Jakimś cudem łódź zbliżała się do portu. Derek mierzył w środek kanału. Tuż koło pomnika Westerplatte. Dostrzeżono ich już wcześniej i na nabrzeżu zebrały się tłumy ludzi. Nigdy nie przypuszczano, że w Bałtyku są takie zasoby rekinów. Poza tym zachwycał wszystkich styl, w jakim je ńęcono. Łódź, sznur, rybak-przynęta i rekin wbity w niego zębami. Bajka dla wędkarzy!

Derek wyłączył silnik i przybił do nabrzeża. Zaczął zwijać linę. Pomógł mu w tym dźwig portowy, który wyrzucił kapitana Flinta zanurzonego do połowy w paszczy rekina wprost na brzeg.

- Nie żyje - ocenił krótko przybyły na miejsce lekarz i trącił butem rekina.

Ludzie wyciągali właśnie kapitana, który odzyskał przytomność i krwawym okiem spoglądał dokoła.

- Jak tego dokonaliście? - zapytał nobliwie wyglądający pan, skłoniwszy się przed Derkiem.

- O tak! - Gudłaj wyszczerzył hacele i mlasnął znacząco jęzorem.

Nikt nie zrozumiał aluzji dzielnego rybaka, więc przekazano sprawę ekspertom. Po tygodniu orzekli oni, że spodnie kapitana Flinta były prane w proszku „Parch” od co najmniej trzydziestu lat. Rekin się ciężko zatrul i zdechl. Prasa skowyczała z radości. Hemingway poszedł w zapomnienie. Tylko taki głupi staruch mógł użerać się przez tyle dni z jakąś rybą - kiwano zgodnie głowami.

Derek natomiast był zadowolony z wykonania planu. Najważniejsze były kwity. Odwiedził kapitana Flinta w szpitalu i przez grubą kratę - musiano ją wstawić, ponieważ korsarz groził, że powtórzy łowy, ale z Derkiem na przynętę - wyjawiał mu sens całego przedsięwzięcia:

- Teraz im nagadaj, że rekin wciągnął cię w głębinę i zobaczyłeś tam górę złota. Dadzą ci tyle kwitów, że nie udźwigniesz...

Na początku kapitan nie do końca zaufał słowom Gudłaja, ale rychło okazało się, że ten miał rację. Pokazał miejsce ze złotem i zasypano go kwitami. Mógł podpisywać i jeszcze go o to

proszono.

Nie bał się żadnego sądu - rozpracował zwykle znalezisko! Nagle zrozumiał, że nie ma już żadnych pieniędzy na życie. Wydał darowane mu w nagrodę zaskórniaki i koniec. Poszedł co prawda i zażyczył sobie jedną sztabkę z powrotem, ale go wyśmiali. Nie mógł się pogodzić, że dzięki niemu pławią swoje cielska w złocie i tak się zachowują. Znalazł Derka w parku na ławce i wyłożył całą sprawę. Gudłaj zaśmiał się tylko donośnie i powiedział:

- Sam chciałeś, frajerze, he, he... Teraz siadaj na krypę i wiej, bo cię wykończą. Uważaj tylko na takich pojedynczych piratów, co mówią na nich: samotniki. To niebezpieczne typy.

Podpłynie w nocy, obrobi wszystko i szukaj wiatru w polu.

Kapitan wysłuchał rady Derka, westchnął i odszedł. Krypę mu też zabrali. Musiał coś ukraść. Zwołał gnijących w spelunach kamratów i zaatakowali. Pech prześladował ich od początku. Rzucili się na dobrze strzeżony prom. Ktoś jednak huknął na nich z góry przez trąbę:

- Rozejść się!

Przyzwyczajeni do karności korsarze posłuchali tego głosu i wrócili do stołu. Karczmy były czynne całą noc... Zrozpaczony Flint ukradł wreszcie jakiś spróchniały holownik i odbił w świat. Postanowił płynąć na Wyspy Kanaryjskie. Tam przynajmniej - jak przypuszczał - powinien spotkać kanarki, które ukoją jego duszę. Martwił się tylko, że mogą go gdzieś dopaść i wziąć za samotnika. A niech im tam - pomyślał i przejechał palcem po ostrzu nowego kordelasa.

Czy taka przynależność oznacza
brak sumienia?
Lisek Chytrusek (wiek XX)

Derkowi bardziej się powiodło. Jakiś szpakowaty oficer marynarki wrzucił mu do kieszeni nieznany papierowy pieniądz. Gudłaj obejrzał go uważnie, ale tajemnica się nie Wyjaśniła. Dopiero kumpel z parkowej ławki okazał mu serce.

- To latający perski dolar - powiedział. - Siadaj na niego i leć, póki ludzi nie ma. Z dziesięciu jeszcze uniesie, ale pod większą liczbą robi bokami. Zwiewaj, bracie! O, już cię przyważyli! Derek nie czekał dłużej. Wskoczył na perski dolar i skierował go do rodzinnej wioski. Ojciec z matką pewnie już się denerwowali - gryzła go nieprzyjemna myśl. Spojrzał ostatni raz za siebie. Rzeczywiście! W parku gromadziły się tysiące ludzi i powszechnie pokazywano go sobie palcami. Większość groziła i próbowała trafić w niego kamieniami. Nie było czasu zastanawiać się, dlaczego czepili się właśnie jego pojazdu. Splunął z niesmakiem i wbił wzrok w chmury.

Nad Warszawą przydarzyła mu się kraksa. Latający dolar przelatywał właśnie nad Bankiem SA i zaczął nagle opadać. Niewidzialny magnes ciągnął go do siebie. Derek próbował walczyć o swoją własność, ale runął w dół i było po wszystkim. Pojazd zniknął, a on stał na ulicy w dziadowskim ubraniu. Wiedział, że jest w stolicy, ponieważ ludzie się za nim oglądali. Tak samo jak przed laty. Bał się, że spotka znajomych. Puścił kaczkę kamieniem na pobliskiej kałuży i wyrwał do domu. Biegł tak cztery dni. Na miejscu zjawił się dokładnie w sobotę wieczorem. Zabawa już trwała. Poznawał swojskie twarze, które w półmroku ukrywały swój dziecięcy atawizm - wysysały butelki jedną po drugiej. Wspiął się po rynnie na poddasze - wolał, żeby go nie widziano - i przez klapę wsunął głowę do środka. A jakże! Starzy Gudłajowie obierali właśnie kartofle na obiad (mogli je gotować tylko w tę jedną noc w tygodniu) i milczeli. Derek z radości owinął ojca wokół krzesła, matkę wykąpał w obierzynach i rozkazał:

- Brać zapalki i odpalamy!

Nie trzeba było powtarzać. Rakieta wybudowana na poddaszu remizy stała gotowa od kilku dni. Starzy przygotowali jedzenie, pomalowali co trzeba i czekali już tylko na syna. Bez nawigatora nie mogli odlecieć.

Tej nocy w remizie bawiło się znacznie więcej ludzi niż zazwyczaj. Może ze cztery wsie. Warunki sprzyjały odpaleniu. Konstrukcja silnika zakładała tylko najtańsze paliwo -smród! Przez długie miesiące wsiąkał on w ściany i sufit, gromadził się w piwnicy, aby napęcznieć wreszcie specjalnie przygotowane zbiorniki. Leżały one na dnie rakiety, a tym samym na suficie remizy, i pęczniały. Kiedy ojciec z matką przytknęli do nich zapalki, rozległ się huk i wszystko zaczęło drżeć. Błysk i dym zlały się w jedną całość. Nikt jednak niczego nie słyszał ani nie widział. Orkiestra wyła do utraty przytomności, smród (jego stały dopływ) zdwajał moce silnika, a Derek zagryzał wargę z wściekłości. Zbyt późno zauważył błąd konstrukcyjny. Rakieta była ściśle zespojona z remizą! Oznaczało to wspólny lot Gudłajów i czterech skłębionych w ekstazie wsi. Derek zrozumiał, że nie pozbędzie się sąsiadów i wszystko powtórzy się raz jeszcze. Z tą różnicą, że gdzie indziej.

Rakieta wyrwała remizę w przestrzeń. Rozbawiony lud nawet nie dostrzegł, że coś się zmieniło. Kilku najbardziej nieświadomych wydarzeń wypadło drzwiami, pozostali nie odstępowali orkiestry i bufetu. Lecieli w nieznane. Ich dowódca, o którym jeszcze nie wiedzieli, obmyślał już nowy plan. Przygotowywał się duchowo na ewentualne spotkanie z prawdziwymi kosmitami. Co też oni sobie o jego załodze pomyślą? A w razie czego - pocieszał się w głębi ducha - zaprosimy ich na zabawę.

Zniknięcie czterech wsi i remizy nikogo nie poruszyło. Katakлизmy zawsze bywały na świecie, więc przyzwyczajono się do nich. Tylko w kilku lokalnych stacjach podano, że przez chwilę obserwowano na niebie tajemniczy obiekt, który jednak szybko zniknął. Nie podano jednego: obserwatorium astronomiczne w G. zarejestrowało dźwięki wydawane przez obiekt. I tak oto po raz pierwszy kosmos przemówił.

Wydanie drugie, zmienione
Copyright © 2006 by Jacek Dąbała
Copyright © 2006 by Red Horse sp. z o. o.

Grafika na okładce
Tomasz Zych

Redakcja
Dorota Szczuka

Korekta
Magdalena Putek

Skład
Arkadiusz Makowski

Przygotowanie okładki do druku
Studio Wizualizacji GRAPHit
Poznań 061 856-00-39
Krzysztof Spychał

Przygotowanie
Blind Dragon

ISBN-10: 83-60504-00-8
ISBN-13: 978-83-60504-00-0

Sprzedaż internetowa
www.merlin.pl

Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 15/17
tel./fax: (22) 631-48-32
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

Wydawnictwo
Red Horse sp. z o. o.
www.redhorse.pl, e-mail: biuro@redhorse.pl

Druk i oprawa ABEDIK S.A. Poznań

TELEMANIAK

Jacek Dąbala

Bohater tej arcyśmiesznej powieści jest równie niezwykły jak Harry Potter i tak samo nieprzewidywalny jak Forrest Gump. Działa w sposób zwiariowany, prymitywny i nadzwyczaj pomysłowy. Autorowi udało się odłonić w „Telemaniaku” także coś głębszego, coś co można nazwać tajemnicą „słowiańskiej duszy”. Odnajdujemy tu między innymi nieposkromioną fantazję, szalone poczucie humoru, ukryte kompleksy, brawurę i odwagę, inteligencję i zwykłą głupotę.

„Nastrój Telemaniaka szybko zmierza w kierunku coraz głębszego i bardziej brawurowego, rozbuchanego surrealizmu. By właściwie docenić urok tej książki trzeba być czytelnikiem rozsmakowanym w radosnej i aluzyjnej grotesce.”

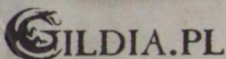
**Andrzej
Pilipiuk**
– pisarz

„Bez tej książki nie da się zrozumieć ani Leppera, ani Urbana, ani Giertycha, ani Komisji Sejmowej.”
Marek Piwowski – reżyser

„W klimatach rzecz bliska „Konopielce”, w przesłaniu „Pachnidłu”, a na dodatek odjechana jak bodaj żadne dotąd dzieło polskiego pisarza”
Rafał Ziemkiewicz – pisarz

Cena: 19,99 zł
www.redhorse.pl

Patroni medialni



Wyłączny
dystrybutor

